

**Cud w Puławach? W Koszalinie to był cud! - str. 2**

**Muzyka młodzieżowa  
- str. 10**

**W kolejce  
po encyklopedię - str. 12**

**DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY**

**Rok założenia 1933**

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36251

# Kamena

**NR 13 (806)**

**17 - 30 czerwca 1984**

**CENA 10 ZŁ**



Rys. Józef Tarłowski

**Prof. Grzegorz Leopold Seidler**  
przewodniczący Wojewódzkiego  
Kolegium Wyborczego w Lublinie

## **Rady to nie dodatek do administracji**

Nie sądzę, aby posługiwanie się językiem patriotycznego krytycyzmu, czy też powiewanie flagami minionych dni wystarczyło do przezwyciężenia naszych trudności. Musimy wykazać dojrzałość polityczną w nowej sytuacji. I tu widzę rolę nowych rad.

Stopień dojrzałości politycznej społeczeństwa nie jest uzależniony od spektakularnych — powiedziałbym — widowiskowych wystąpień, czy też oszalamiających programów. Ale dojrzałość polityków zależy od stałego informowania społeczeństwa o sposobie załatwiania spraw publicznych. Tylko wtedy może społeczeństwo zrozumieć administrację państwową i przestać ją traktować jak uciążliwą i niepotrzebną biurokrację.

Musimy odejść od fatalistycznej postawy akceptującej wszystko, co postanowiono na górze. Rady nie mogą być traktowane jako dodatek do rządzącej administracji, której decyzje należy ślepo stosować. Wysoki poziom osiągną rady, kiedy w nich nie tylko będą omawiane zasadnicze problemy, ale gdy rady będą o nich decydowały.

(dalsze wypowiedzi kandydatów na radnych — str. 4)

## **O PRAWDZIE, IDEOLOGII I ZNACHORACH**

— Zaczniemy może od sprawy ważnej dla dziennikarzy, stanowiącej o społecznej skuteczności ich pracy, sprawy walkowanej i odmiennie interpretowanej na różnych poziomach życia publicznego lat ostatnich, zamykając ją w pytaniu o status i funkcjonowanie pojęcia prawdy w naszym zawodzie...

— Słowo „prawda” zrobiło w Polsce w latach ostatnich ogromną karierę polityczną. Nasi przeciwnicy polityczni sięgnęli po nie jako po broń rozstrzygającą. Miało ono przygwoździć wszystkich, którzy głosili inne poglądy, bowiem wyłącznymi posiadaczami prawdy byli — a priori —

tylko ci, którzy zajmowali krytyczne stanowisko wobec rządu, wobec partii.

Nie twierdzę, że w tym krytycznym stanowisku często nie mieli racji. Niekiedy przyznawały to najwyższe instancje partyjne. Tylko jaki to miało związek z prawdą?

W tym miejscu ciekawym ksiądz profesor Tischner, który tyle czasu

i miejsca (w „Tygodniku Powszechnym”) poświęcił dążeniu do prawdy, jako jednej z cech charakterystycz-

nych NSZZ „Solidarność”, zachęcałby się zapewne. Wnoszę z jego tekstów, że słowo „prawda” jest dla niego programem w działalności politycznej i społecznej.

Bardzo chciałbym, aby tak było na tym najlepszym ze światów, ale nie-

też kryteria prawdy w działalności społecznej są często — nie zawsze! — niewymiernie. Czy dziennikarz piszący

o jakiejś sprawie napisze prawdę, jeśli powie wszystko, co wie na ten temat? Czy wszystkie informacje, jakie przedstawi czytelnikowi, są samą prawdą? Najczęściej rękami ich prawdziwości ma być podanie źródła.

Dokończenie na str. 9

### **Rozmowa z Ryszardem Wojną**



# z notatnika

3 VI. Zjechali dosłownie z całej Polski. Z Warszawy i Jarosławia, z Radomia i Tezewa, z Ostrołęki i Szczecina, z Białegostoku i Bolkowa... No i, oczywiście, przybyli ci, którzy pozostali w Lublinie na stałe. Trzydziestka z trzydziestu czterech, bo jeden spośród nich odszedł już w tragicznych okolicznościach na zawsze.

Niektórzy nie byli tu dosłownie od lat dwudziestu, a więc od tego pamiętnego 1964 r., w którym to otrzymali dyplomy magistrów historii UMCS. (Gładali teraz miasto, podziwiali nowe budynki, a przede wszystkim poznawali (często dosłownie, bo lata zmieniają człowieka) się na nowo i gadali, gadali, gadali... No, może nie tylko gadali: noc z 2 na 3 czerwca długo będą pamiętać. Spotkanie towarzyskie zaszczyli swą obecnością i rektor UMCS, prof. Józef Szymański, i dziekan wydziału humanistycznego, prof. Michał Łosiów, byli też niektórzy dawni wydawcy, co nieco również zmienieni (nie tylko zewnętrznie).

Co robią dzisiaj? Przede wszystkim są, choć w ich gronie jest i wojeвода, i dyrektor, i oficer, i redaktor: właśnie Piotr Kopciowski z „Kamenu” i dlatego też, niejako po kumotersku, zbliżasz ów w tym miejscu wspominał. Wspominałbym go może cieplej, ale wiem o wszystkim, niestety, tylko z słyszenia, co zresztą jest wyłącznie żartobliwą uwagą!

6 VI. Pisałem już o 25-leciu kalendarza „Czarta” i o wspominkach Tytusa Właskiego. Brak miejsca nie pozwolił mi zacytować choć fragmentu tych wspominek. A jeden dotyczy „Kamenu”. Właski pisze:

„Entuzjastka „Czarta” nasza kochanka, cudowna Mańcia Bechzyca-Rudnicza z niemalym zaskoczeniem zobaczyła siebie kiedyś na scenie w „Czarnej Łapie” wraz z ówczesnym naczelnym redaktorem „Kamenu” Kaj-em! W czasie ich „interesującego” dialogu na temat rozwoju reprezentowanego przez nich pisma, wówczas jeszcze literackiego i Związku Literatów, a zwłaszcza problemów koła młodych, rozległo się pukanie.

MB-R: — Kto tam?

Głos zza sceny: — Czytelnik „Kamenu”.

MB-R: — Oj, klameczusku, klameczusku! Wszystkich dziesięciu czytelników znam osobiście i poznają po głosie!”

Dowcip przedni, choć, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, autor skemał nieco przesadził: ówczesna „Kamenu” miała ok. dwóch tysięcy jednorazowego nakładu.

Dziś mamy ok. 20 tysięcy nakładu, ale polityka (?) nadziała pisma na poszczególne regiony ciągle wydaje mi się czarną magią. Konia z rządem temu kto odpowie na pytanie dlaczego więcej egzemplarzy „Kamenu” dociera do woj. legnickiego niż do woj. wrocławskiego? Dlaczego Tarnów otrzymuje

więcej „Kamenu” niż Łódź? Dlaczego Opole (ŚL) ma siedmiokrotnie mniej „Kamenu” niż Zielona Góra, pięciokrotnie mniej niż Koszalin i osmiokrotnie mniej niż Nowy Sącz? (w tym ostatnim wypadku można jeszcze zrozumieć: woj. nowosądeckie to również i Zakopane, ale mamy przecież sygnały, że i w stolicy górskiej o nasz dwutygodnik trudno...). A w takim np. Świdniku rozchodzi się prawie połowa tej liczby egzemplarzy „Kamenu”, które docierają do całego woj. chełmskiego, będącego, bądź co bądź, kolebką pisma.

Mam też inne pytanie: dlaczego na kolejowych dworcach w Włocławku nie dostrzegam „Kamenu”, podczas gdy widzę np. „Nadodrze” czy „Kontrasty”? Oczywiście, najchętniej usłyszałbym odpowiedź: „Bo sprzedana”, ale przecież cała Warszawa otrzymuje tylko 300 egz. dwutygodnika, tyle samo, co „Ruch” w Bydgoszczy. I muszę przyznać, że ani razu, dosłownie ani razu, w przeciągu ostatnich dziesięciu lat nie dostrzegłem w warszawskim kiosku naszego tytułu.

7 VI. Profesor Hieronim Kubiak powiedział kiedyś, że należałoby w dużym nakładzie wydać dzisiaj „Mały rocznik statystyczny” z 1939 roku. Nie mam tego rocznika, ale mam nieco wcześniejszy — z 1935 r. Wiele danych jest niezwykle interesujących, zwłaszcza na tle porównań Polski z innymi państwami. Mówiłem dziś na ten temat podczas spotkania przedwyborczego z nauczycielami i pracownikami kultury w Lubartowie.

50 lat temu, w 1934 r., Polska miała zarejestrowanych 26 tys. samochodów, w tym 5 tys. samochodów ciężarowych. W tym czasie Czechosłowacja, mająca mniej niż połowę tej ludności, co Polska, miała 112 tys. samochodów, Włochy — 347 tys., Niemcy — 866 tys., Anglia — 1725 tys. a Francja (której się spodziewałem, że ona właśnie miała w Europie najwięcej...) — 1890 tys.

50 lat temu mieliśmy 25 882 szkoły powszechne, w których kształciło się 4 491,4 tys. uczniów, ale aż 12 169 szkół, a więc prawie połowa, to były szkoły, w których nauczał tylko jeden, podkreślam — TYLKO JEDEN nauczyciel. Szkół o dwóch nauczycielach było 6 113. W sumie jeden albo dwóch nauczycieli kształciło prawie 40 proc. wszystkich uczniów w całym kraju!

Ktoś powie: przypominanie tego, jak było przed półwieczem, nie ma dziś najmniejszego sensu. To ja mu odpowiem, że jest po prostu głupi. Każdy z nas dźwiga na sobie garb przeszłości. Do dziś ponosimy koszty rozbiorów i dwóch wojen światowych, które przewały się przez naszą ziemię.

Oczywiście można też stwierdzić, że gdybyśmy nie popełnili szeregu błędów, moglibyśmy być dzisiaj dalej niż jesteśmy. Prawda, ale to już zupełnie inna historia. Faktem jest jednak, że pewnego etapu przeskoczyć się nie da. Próbował to uczynić Edward Gierka.

leco? Z ekonomią nie wygrał. I chyba nie tylko z ekonomią...

8 VI. Po Plenum (XVI) KC PZPR. Tym razem odbyło się ono w Łodzi i poza członkami Komitetu Centralnego uczestniczyło w nim 800 zaproszonych gości z całej Polski — partyjnych i bezpartyjnych robotników, którzy też mieli możliwość wypowiedzieć się, albo złożyć swoje wystąpienia do protokołu. (Wypowiedziało się 38 osób, a 94 przedstawiło swe teksty).

Sformułowanie „historyczne plenum” może być zbyt namiętne, ale określenie, że było to plenum bezprecedensowe wydaje mi się nad wyraz słuszne. Przede wszystkim — liczba uczestników. Dalej — obecność bezpartyjnych. Następnie — klimat, szczerść wypowiedzi, otwarta krytyka wielu błędów i skrzywień. Bolesław Nesteruk z podszczecińskich „Polic” powiedział otwarcie, że robotnicy chcą mieć prawo nieskrępowanego wyrażania swych poglądów oraz mieć przekonanie, że ich głos będzie się liczył, że dojdzie do tych, którzy podejmują decyzje. A z kolei Barbara Witkowska z „Polskiej Welny” w Zielonej Górze mówiła wiele o sprawiedliwości społecznej. Robotnika łatwo i szybko karze się za złą pracę, natomiast tych, którzy podejmowali błędne decyzje, przynoszące milionowe straty, karze się bądź obojętnie bądź wcale.

O Plenum szczegółowo informowała codzienna prasa, mniej natomiast pisano o spotkaniach w łódzkich zakładach pracy, a tych spotkań było prawie 50. Tutaj dyskusja była szczególnie burzliwa.

Np. w „Unionexie” padło pytanie pod adresem Kazimierza Barcikowskiego: „Jak Gierka zapatruje się na aktualną sytuację kraju i swoją winę za kryzys”. Barcikowski odpowiedział (cytuje za „Ogłosami”): „Co się tyczy osoby Gierki — podobnie jak wielu z nas dał się on w latach siedemdziesiątych ponieść naciskom na rozmach inwestycyjny. Nie starczyło mu charakteru i poczucia rzeczywistości, odpowiedzialności. Jego winą było to, że zamiast studiować te zapalały, sam w tę dudkę dmuchał. Słabość charakteru Gierki wyszła także w okresie jego internowania. Mogłem się wtedy przekonać, że niewiele się nauczyły z lekcji Sierpnia... Jednakże wszystkie kary polityczne i moralne, jakie mógł ponieść, już poniósł!”

A oto inne refleksje Barcikowskiego:

■ Nie wyolbrzymiajmy sprawy inżynierów handlujących pietruszką. Po pierwsze — ona też jest potrzebna. Po drugie — uważam, że więcej czasu trawimy na zebraniach mówiąc o tych sprawach niż wynosi czas pracy inżynierów-kioskarzy.

■ Atakowane są dziś firmy polonijne, inicjatywa prywatna, często słuszna. Ale czy czasami nie chodzi jedynie o to, aby zlikwidować konkurencję po to, abyśmy dalej klepali byle co i byle jak?

■ Cztery lata przegadaliśmy w walce o więcej mieszkań. Faktem jest, że w 1984 roku wybudujemy ich w kraju o połowę mniej niż w 1980 roku. Jest to mało, opóźnienie jest wielkie. Dlatego uważam, że aby nie pomnażać błędów poprzedniej dekady, w Łodzi w najbliższych latach nie powinno powstać ani jedno nowe miejsce pracy.

Wyjdzie to na dobre przemysłowi i miastu. Pozwoli rozwiązać sprawy zatrudnienia, warunków pracy, a przede wszystkim problem mieszkaniowy, bowiem jego zaostrzenie jest wynikiem przyspieszonej urbanizacji lat siedemdziesiątych.

Można się zgadzać lub nie z Barcikowskim, ale trzeba przyznać, że to zupełnie inna rozmowa z ludźmi niż przed dziesięć laty!

10 VI. Coś mi się wydaje, że jednego dnia była nagrywana rozmowa czwórki dziennikarskiej z wicepremierem Rakowskim, a emitowana dziś i wczoraj w TV. Dzisiaj usłyszałem na przykład kilkakrotnie, że „wczoraj mówiliśmy”, ale nie wierzę, że rzeczywiście spotkanie rozciągnięto na dwa dni. M. in. dlatego nie wierzę, że dwie panie były identycznie ubrane (panowie również). A kobiety co nieco się zna! Wszystko, o czym wyżej, to w gruncie rzeczy drobiazg, inscenizacja dokonana dla potrzeb TV, a ta ma swoje prawa.

Wicepremier, jak zwykle, interesującą mówił o aktualnych problemach, wśród nich głównie o zbliżających się wyborach, cytował nawet różne hasła, grafomańskie fraszki kolportowane w ulotkach przez tzw. podziemie. Można układać hasła — contra, można też układać hasła-pro. Np.: „Dzień pogodny, czy też chmurny — naród idzie dziś do urny”. Mogą szybko wymyśleć kilkanaście podobnych, ale po co? Proza życia to nie pseudopoezja!

Niedawno wpadł mi w ręce kolportowany w Lublinie biuletynik o nazwie „Świadectwo” i firmowany przez b. NZS. Jeśli rzeczywiście biuletynik ów wyszedł spod studenckiego pióra (studenckiej maszyny do pisania, ściśle mówiąc), to chciałoby się zapytać: kto autorom dał świadectwo dojrzałości? Studenci nie powinni robić błędów ortograficznych (zahamowań np. nie pisze się przez ch) i nie być na bakiery z interpunkcją. Czyżby byli w opozycji również do przedwojennej ortografii? O samej treści biuletyniku już nie mówię, szkoda słów, rzeczy! Do podstawówki, panowie stódcy!

Oczywiście, pisząc te słowa, nie mam na myśli żaków, czyli studentów.

A wracając do wspomnianej rozmowy z M. F. Rakowskim. Dziennikarze rzeczywiście dyskutowali, a nie słuchali tylko, co powie wicepremier. I słusznie: klaskania było dosyć w przeszłości!

M. A. Jaworski

## SPROSTOWANIE

W dwóch wierszach Jana Górcza-Rosińskiego, zamieszczonych w II nrze „Kamenu”, wkradły się błędy — w pierwszym z winy autora (nie sprawdził maszynopisu), w drugim z winy naszej korekty.

Tak więc pierwsza zwrotka wiersza pt. „Tożsamość” powinna brzmieć:  
Zalepiasz oczy sloganami  
w duszy bunt  
wołanie o światło  
Natomiast wiersz pt. „Nie odchodź od siebie” powinien zaczynać się tak:  
Nigdy nie odchodź od siebie  
nie zdradzaj rdzenia  
jeśli w namletność podążasz  
strzeż korzeni  
i paków  
Za korektę przepraszamy. (red.)

## W Koszalinie to był dopiero cud...

**O** CUDZIE w Puławach głośno, pisał o tym i „Sztandar Ludu”, i „Kurier Lubelski”, i „Życie Literackie”, i „Przegląd Tygodniowy”. Nie został jeszcze stworzony w pełni czas, ale, jak się okazuje, mercedesami i ładami też można dojechać do średniowiecza. Ja jeszcze dobrze pamiętam tzw. cud lubelski z 1949 r. Wówczas motoryzacja nie była tak rozwinięta, tłumy ciągnęły pociągami. 35 lat minęło, świadomość narodu niby wzrosła, ale wiara w cuda pozostała. Przynajmniej w cuda na drzewach...

O cudzie w Koszalinie mniej się słyszy, a kto wie, czy pielgrzymki nie powinny tam właśnie, pod hotel robotniczy przy ul. Orlej, ciągnąć.

Właśnie w hotelu robotniczym, znajdującym się przy tej ulicy, mieszka z rodzicami Arturzek Nowicki, urodzony w piątek, 13 sierpnia 1982 r. Podkreślam: i w piątek i trzynastego...

A fakty mówiące o tym, co wydarzyło się 21 maja br., czerpię ze słupskiego tygodnika „Zbliżenia”. Oczywiście, można by wysłać do Koszalina przedstawiciela „Kamenu”, nie sądzę jednak, by mógł cokolwiek więcej napisać. Oszczędność i nas obowiązują a „Zbliżenia” w Lublinie za żadne pieniądze się nie kupi.

Mamy więc dzień 21 maja. Jest godzina 20. Matka Artura wychodzi na dwór, by sprowadzić do domu swego drugiego syna, pięcioletka.

„To wszystko — opowiadała później red. Wojciechowi Budzińskiemu — trwało raptem sekundy. Gdy bylam na dole, ktoś wołał, że dziecko wychyla się z okna. Zobaczyłam, że to Arturzek. Wołałam tylko: „Artur, Artur, nie wychylaj się i chciałam biec na górę. Wtedy usłyszałam pisk, krzyk. Pociemniało mi w oczach. Wypadł — pomysłam!”

W tym czasie przed budynkiem kręciło się sporo ludzi. Na lawce, w odległości około 17 metrów od budynku, siedzieli dwaj mieszkańcy hotelu — Zenon Gutowski i Józef Wicher. Zenon Gutowski, który jest palaczem w koszalińskiej fabryce domów, kończył tego dnia pracę wieczorem. Nie miał klucza od mieszkania, czekał więc na żonę, która była u rodziców.

Przed klatką schodową pojawiła się sąsiadka, która chciała wejść z wózkiem dziecięcym. Widząc rozmawiających mężczyzn, zwróciła się do nich o pomoc. Gutowski zerwał się z ławki i pospieszył w jej kierunku. I wówczas usłyszał krzyk jakiejś kobiety: „Wychyla się!”

Spojrzał w górę. Na parapecie okna na trzecim piętrze zobaczył dziecko. Teraz wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Gutowski podbiegł do ściany i cały czas intensywnie wpatrywał się w górę, przesuwał się to

w prawo, to w lewo. Zdał sobie sprawę, że tylko on jest w stanie uratować życie temu dziecku. I w pewnym momencie stało się dziecko oderwało się od parapetu, najpierw leciało nogami w dół, a potem jakaś siła obróciła je na brzuszek.

Gutowski złapał chłopca, ale ciężar tego spadającego ciała był tak wielki, że dziecko wyslizgnęło mu się z rąk i spadło na ziemię. Ale po chwili samo, o własnych siłach, podniosło się z płaczem.

Pogotowie, szpital i diagnoza lekarska: nadłamała kości lewej ręki. Gips.

Ordynator Oddziału Chirurgii Dziecięcej, dr Janusz Ignatowski, lekarz z 40-letnią praktyką, oświadczył: „Upadek z tej wysokości musiałby się skończyć tragicznie. Chłopiec został, na szczęście, przychwycony i to zamortyzowało siłę upadku. Natym polega niecodziennosc tego wydarzenia. Nie potrzeba mówić o tym, co by się stało, gdyby dziecko nie zostało w ostatniej chwili złapane!”

Teraz można stwierdzić, że Gutowski nie złapałby dziecka, gdyby jego żona nie poszła do rodziców. Nie złapałby, gdyby wujek ze sobą klucze do mieszkania. Nie złapałby wreszcie, gdyby nie sąsiadka, która prosiła o pomoc przy wniesieniu wózka. Dzięki temu znalazł się blisko domu, a nie w odległości 17 metrów od niego.

Trzy szczęśliwe zbiegi okoliczności? Może i ten chwarty, że to był właśnie Zenon Gutowski, który w takiej chwili nie stracił zimnej krwi?

A może właśnie cud? Cud w Koszalinie! Szczerze mówiąc, gdybym wierzył w tego typu zjawiska, tak bym właśnie zakwalifikował to, co się wydarzyło przy ul. Orlej. (J)



**-K** OBIETA na wsi nie ma czasu na chodzenie po zebraniach. Od tego są mężczyźni. Ale głosować będą, przecież to uprawnienie jest jednakowe dla mężczyzny, jak i dla nas, kobiet — mówi mieszkanka wsi Kosarzew Dolny czekająca na przystanku PKS na autobus do Bychawy — U nas we wsi zebranie z kandydatami do rady narodowej było w szkole — kontynuuje. — Trochę ludzi przyszło, żeby zobaczyć czy „swoich” zgłoszono, czy też innych. Ludzie mówią, że ucześci ci kandydaci. A na wsi to oznacza wiele. My się tu prawie wszyscy znamy i wiemy, „kto na czym siedzi” — kończy rozmowę.

Rzeczywiście kobiety w gminie Krzczonów nie mają wiele swoich przedstawicieli, które kandydują do Gminnej Rady Narodowej w tegorocznych wyborach. O mandaty radnego ubiega się siedem kobiet z Krzczonowa i okolicznych wsi. Prawie wszystkie te panie zostały zgłoszone przez działające we wsiach koła gospodyń wiejskich. Może, gdyby było więcej przedstawicieli płci pięknej zgłoszonych do wyborów, kobiety krzczonowskie znalazłyby wtedy chwilę czasu — pomiędzy dojeniem krów, karmieniem drobiu, gotowaniem i wieloma czynnościami gospodarskimi — na pójście na zebranie konsultacyjne z udziałem kandydatów na radnych.

— Na wsi rządzą chłopci — mówi mężczyzna, który przy okazji wskazuje drogę do zabudowań Edwarda Skiby, kandydata na radnego do Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie, mieszkającego w Kosarzewie Dolnym.

— Skiba to znany u nas człowiek, w ZSL działa. Zna się chłop na wszystkim i umie pomóc ludziom. Ostatnio trochę choruje, ale pewnie wygra z tym młodym — informuje sąsiad kandydata na radnego z Kosarzewa.

Tym młodym jest Henryk Podsiadły, bezpartyjny, rolnik, działacz ZMW, kandydujący z gminy Krzczonów na radnego do WRN.

Mieszkańcy gminy Krzczonów, jak też gmin: Jabłonna, Strzyżewice oraz gminy i miasta Bychawa, wybierają pięciu radnych do WRN. Gmina Krzczonów ma dwóch przedstawicieli na liście kandydatów do WRN w okręgu nr 11.

— Mąż lubi działać społecznie — mówi Marianna Skiba, żona kandydata, który wyjechał właśnie do Lublina po skierowanie do sanatorium.

— Dobry jest dla ludzi, potrafi wszystko wyjaśnić i rozumie rolników, bo sam przecież nim jest. W tym roku skończył 68 lat. My teraz razem z mężem pomagamy córce w gospodarowaniu, doczekaliśmy się czwórki wnucząt. Najmłodszy syn pracuje w Zakładach Azotowych w Puławach, starszy też ma gospodarstwo na wsi.

— Jak pani sądzi, zostanie mąż radnym?

— Trudno powiedzieć, ludzie zdecydują. Nie wiem.

Mieszkańcy Krzczonowa i 26 wsi wchodzących w skład gminy wybierają też 50 radnych do Gminnej Rady Narodowej. Zgodnie z ordynacją wyborczą, kandydatury osób na radnych zgłosiły wszystkie organizacje polityczno-społeczne będące sygnatariuszami Deklaracji w sprawie Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego z dnia 20 lipca 1982 r., a także związki zawodowe, ZBoWiD, socjalistyczne związki młodzieży, inne organizacje społeczne działające na terenie gminy, no i oczywiście Gminna Rada PRON.

— W pierwszym etapie kampanii wyborczej — przed wywieszeniem list kandydatów na radnych — w spotkaniach konsultacyjnych podczas 21 zebrań w gminie wzięło udział 100 osób ubiegających się o mandaty — mówi Stanisław Burył, przewodniczący Gminnej Rady PRON w Krzczonowie, będący jednocześnie kandydatem na radnego. — Nie zgłoszono zastrzeżeń do przedstawionych propozycji — wyjaśnia dalej. — W spotkaniach tych uczestniczyli mieszkańcy, jak też przedstawiciele władz wojewódzkich, gminnych i przedsiębiorstw, które w przyszłości będą pracowały na rzecz naszego terenu.

Na 50 mandatów do GRN w Krzczonowie 21 przypada członkom PZPR, 12 — ZSL i 17 — bezpartyjnym. Wśród 100 kandydatów, 29 lat życia nie przekroczyło 20, w wieku 29—40 lat jest 29 osób, pomiędzy 40 a 60 rokiem — 39, a po „sześćdziesiątce” 12 osób ubiega-

jących się o mandat radnego. 14 kandydatów to byli radni ostatniej kadencji, a dziewięciu to byli radni z dalszych kadencji. Tyle statystyki.

— Na spotkaniu konsultacyjnym 13 maja w Domu Kultury w Żukowie — mówi Władysław Warda, rolnik z tej wsi gospodarujący na ponad 8-hektarowym gospodarstwie — przedstawiono program wyliczeń opracowany przez PRON, w którym znalazło się wiele spraw. M.in. planuje się rozpoczęcie budowy dróg w kilku miejscowościach naszej gminy. Uważam że sam pomysł jest bardzo dobry, tylko aby to wykonać, trzeba wiedzieć, czym się dyspo-

Adam Dziaduch, sekretarz Urzędu Gminy, a obecnie kierownik Gminnej Komisji Wyborczej, stwierdza że na innych zebraniach konsultacyjnych w Krzczonowie Sobieskiej Woli i Krzczonowie III mówiono także o konieczności budowy centralnego przystanku lub dworca PKS, z którego odjeżdżałyby autobusy we wszystkich kierunkach. Obecnie przystanki znajdują się w czterech oddalonych od siebie punktach wsi. Wykonanie „szybkiej” przeładki jest praktycznie niemożliwe.

Inne problemy mieszkańców gminy słynącej m.in. z przepięknych strojów ludowych, poruszane na zebraniach

niejszą rzeczą jest zabezpieczenie środków produkcji dla rolnictwa w postaci maszyn, nawozów i materiałów budowlanych. Najbardziej odczuwalne są przez rolników braki eternitu, cegły palonej i belity — kończy swoją wypowiedź St. Grzeszczyk który w czasie ostatniej kadencji GRN w Krzczonowie był jej przewodniczącym.

Krzczoneń jest niezłe prosperującą gminą rolniczą. Znajduje się tu 1940 gospodarstw a powierzchnia użytków rolnych wynosi 10 600 ha, na których uprawiane są głównie: pszenica, jęczmień, ziemniaki, buraki cukrowe i len. Ubiegły rok w skupie zboża był po-

# Na wsi wybory

Jan Tański

nuje. Tak jak rolnik musi mieć olówek „twardy”, gdy zacznie pisać, żeby mu się nie złamał, nim skończy. To nie sztuka rozpoczynać i nie kończyć. A wiadomo, że pieniędzy mało. W dodatku gminie potrzebna jest woda.

W programie wyborczym gminy Krzczonów znajduje się wiele propozycji i wniosków do realizacji przez przyszłych radnych. Z uwagi na to, że w samym Krzczonowie występuje niedobór wody rzędu 150 metrów sześciennych na dobę, zakłada się budowę wodociągu o długości ponad 15 km. Projekt tej inwestycji jest już na ukończeniu i za trzy-cztery lata w Krzczonowie, jak i Kosarzewie Górnym, Dolnym, Stróżach i okolicznych wsiach problem braku wody powinien być rozwiązany. Zadaniem „na dziś” jest podłączenie trzech nowych studni głębinowych do wodociągu krzczonowskiego, zwłaszcza, że poziom wody w tych ujęciach gwarantuje możliwość stałego korzystania, bez potrzeby uzdatniania tej wody.

Budowa dróg na terenie gminy jest kolejnym ważnym przedsięwzięciem, które było dyskutowane na spotkaniach konsultacyjnych. Planuje się budowę dróg o długości ogółem ok. 10 km, które ułatwią mieszkańcom poruszanie się po terenie gminy. W tym roku ma rozpocząć się budowa drogi z Olszanki do Majdanu, z Krzczonowa do Folwarku i Borzęcina. Ma być dokończony 1 km nawierzchni do Żukowa, a także dokończona będzie droga Sobieska Wola — Radomirka (z budową dwóch mostów wraz z dojazdami). Oczywiście to nie wszystkie inwestycje drogowe gminy Krzczonów, jedynie te najpilniejsze, bowiem do zrobienia w tym zakresie jest jeszcze dużo.

— Wiele prac przy budowie dróg wykonali w czynie społecznym mieszkańcy Krzczonowa i okolicznych wsi — mówi naczelnik gminy Jan Madej. — Podczas zebrań wyborczych, w których uczestniczyłem, wielokrotnie poruszano sprawy sieci komunikacyjnej w gminie. Chcemy pozyskać środki na dokończenie drogi lokalnej do Antoniówki. Właśnie przy budowie tej drogi mieszkańcy w czynie społecznym wykonali większość prac. Teraz potrzeba nam jeszcze około 1,5 mln zł i droga będzie gotowa.

konsultacyjnych z kandydatami na radnych, dotyczą rozbudowy istniejącej bazy lokalowej dla potrzeb: Wieczorowego Technikum Rolniczego, Zasadniczej Szkoły Rolniczej w Krzczonowie i przedszkola. Konieczne jest wykonanie boisk sportowych przy istniejących szkołach.

Wł. Warda uważa, że przyszli radni powinni zająć się, dokładniej, doborem

myślny, bowiem skupiono go około 1 tys. ton. Teraz sytuacja przedstawia się o wiele lepiej — spowodował ją wzrost cen — bo w br. skupiono 3 600 ton zbóż. Dobre efekty daje tu również hodowla bydła i trzody chlewnej. Tegoroczny plan przewiduje, iż zostanie skupionych 11 tys. sztuk świń. W gminie 444 rolników posiada własne ciągniki, 193 gospodarzy ma snopo-



kadry nauczycielskiej do szkół wiejskich, bo coraz mniej dzieci z tych szkół dostaje się do liceów i techników w Lublinie.

— A to świadczy, że nauczyciele na wsi nie dbają o odpowiedni poziom nauczania — dodaje gospodarz.

— Rady w gminie powinien pracować na rzecz swojego środowiska, a przede wszystkim dbać o interesy tych, którzy go wybrali, czyli rolników — przedstawia swoje credo wyborcze, Stanisław Grzeszczyk, prezes GK ZSL i kandydat na radnego. — Chciałbym, aby w przyszłości w Krzczonowie było więcej sklepów i by było czystiej, aniżeli jest obecnie. Jednak najważ-

wiązalki, a 21 — kombajny. Tak więc, w ślad za dobrymi wynikami w produkcji żywnościowej, idzie dobre usprężenie rolników.

— Rolnik jest przyzwyczajony do tego, że ma produkować dla innych — stwierdził Michał Wątróbka, rolnik z Kosarzewa Dolnego. — Tylko nie zawsze ci inni potrafią dostrzec chłopca. Dlatego musimy mieć „swoich” przedstawicieli w radzie narodowej, aby miał kto przypomnieć o naszych sprawach. A na wybory pójść trzeba i głosować na dobrych kandydatów. Trzeba traktować ludzi poważnie.



## Andrzej Chmielarczyk:

**S**YTUACJA, sposoby działania przyszłego radnego nie będą łatwe. Inna epoka, inne uwarunkowania, ale i — co bardzo korzystne — większe uprawnienia wybranego. Każda dziedzina, którą przyjdzie rozwiązywać, posiada te uwarunkowania, myślę jednak, że najwięcej ma ich kultura. Radny, który będzie pracować w Komisji Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej, albo przyjdzie mu sprawa kultury i sztuki rozstrzygać na sesjach, bronić się musi przed tak zwanymi trudnościami obiektywnymi, hamulcami, wynikającymi nadto z rzeczywistości — znowu obiektywnych — możliwości. Inaczej dla tej dziedziny nie uzyskamy niczego. Zdrowy rozsądek jest nieodzowny, ale czy zawsze ma się objawiać ustępliwością zupełnymi?

Posiadaliśmy w województwie dalekosiężne plany rozwoju kultury. Czas obszedł się z nimi niemiłosiernie. Następowaly, bo musiały, weryfikacje, dostosowania, a przede wszystkim obniżenie, czyła troska, aby nawet w najtrudniejszych czasach nie utracić, nie umniejszyć stanu posiadania, zarówno gdy chodzi o bazę, kadre, jak i wartości, które ona dotąd stworzyła i przynosiła do społeczeństwa. Nowo wybrani radni będą musieli przede wszystkim dokonać bilansu potrzeb i zadań. Do nich trzeba będzie następnie dostosować obecne możliwości budżetowe, materialne, kadrowe. Potrzebna więc będzie gradacja ważności spraw, ona z tego zsumowania potrzeb wyniknie.

Może się np. okazać, że jednak bardziej realne jest wygospodarowanie budynku dla Wyższej Szkoły Muzycznej (nie ma takiej po prawej stronie Wisły) i jej powołanie, niż dokończenie gmachu teatralnego. Ale jest też możliwość inna i ona byłaby najlepsza: te dwie sprawy potraktować jako równoważne. Narodowy Fundusz Kultury zapewne będzie tu pomocny. Radni mogą wiele uczynić, by znalazły się stamtąd środki, nadto, aby — bez szkody dla budownictwa mieszkaniowego — inwestycja między Alejami Racławickimi a ulicą Skłodowskiej-Curie została jak najszybciej zakończona. Od niej zależy byt prawie wszystkich placówek teatralnych i muzycznych w Lublinie. Znana jest anegdota: należy myć ręce czy nogi? U nas co jakiś czas wraca spór: budować nadal teatr, czy co prędzej kończyć szpital przy Alei Kraśnickiej. Nie pojmuję jak można w ogóle taką alternatywę rozważać. I jedno, i drugie jest nieodzowne, bo jeśli tylko zbudujemy placówki dla służby zdrowia, a zaniechamy potrzeb kultury, to wychowamy sobie ludzi zdrowych wprawdzie, ale zdrowych zwierzaków. Tego nikt, kto rozsądny, nie pragnie.

Najbliższe mi są sprawy kultury. Niepokój mnie postawa kierownictwa dużych zakładów pracy, w ogóle przemysłu i instytucji. Przeszły one łączyć na działalność kulturalną, albo partycypują jedynie w utrzymaniu bazy sportowej. Właściciel pragnął całym kłopotem obdarzyć Urząd Wojewódzki i jego budżet. Był więcej zysku do podziału! Nie chcą być mecenasami kultury, nawet dla własnych założeń, dla środowiska, w którym poza pracującymi ludźmi w rodzinach bytują. Ustawodawstwo nie zabrania im spełniać tradycyjnej już roli, jaką dawniej dyrektori i rady zakładowe związków zawodowych spełniały. Problem jest w jego interpretacji i dobrej woli, w gospodarności, która coś jeszcze widzi poza produkcją i portfelem pracownika. Jeszcze nie wszystkie stracone, można zakładowe domy kultury, świetlice, biblioteki, zespoły artystyczne uznać za ważną część zadań przedsiębiorstw, uznać wreszcie, że są one środkiem dowartościowania pracowników, co w efekcie wiąże ludzi z zakładem i jego celami. Inaczej, ale o to samo chodzi na wsi, gdzie domy kultury, gminne ośrodki kultury, biblioteki i kluby najczęściej istnieją, a niemają braku im, aby spełniły swoją rolę wobec środowiska.

Jest oczywiście, że przyszłe rady spożytkują swoje uprawnienia, że przysięgli radni, korzystając ze swoich praw, wiele tu mogą odmienić. Nie zrobią tego za ludzi do pracy kulturalno-oświatowej powołanych, nie zastąpią społecznego aktywu, ale mogą i muszą wytyczyć wspomniane na początku cele, wypracować najlepsze po temu sposoby, aby działalność różnych dziedzin związanych z kulturą była właściwa, w ogóle była, funkcjonowała nieklamaniem, w widoczny sposób.

kim od naszej konsekwencji. Np. w dziedzinie mnie interesującej najbardziej — kulturze, rzeczywiście nieodzowny będzie konsekwentny wysiłek ludzi, którzy za nią czują się odpowiedzialni, za jej oblicze i dokonania.

Pod koniec stulecia i tysiąclecia bardziej niż przedtem odczuwa się ważność tego, co przeżywa i przeżyje młode i najmłodsze pokolenie. Jest to obecnie bardziej widoczne. Co społeczeństwo dorosłe stworzy i zaprogramuje dla tych, którzy dorastają, to oni będą mieli; z poziomu naszego dorobku oni będą rozwijali nowe dobra w swojej epoce. Nie tylko o bazę jednak chodzi, o podstawy ekonomiczne, choć bez nich tak niewiele można uczynić. Najbardziej ważne jest, jaki będzie człowiek tej nieodległej już epoki, bo on wyrasta wśród nas i wzorzy bierze z nas, także przyczyni przedstawienia się im, a więc i zastanemu światu.

Trudno o wzorce, które w przyszłości się sprawdzą, pomocą godnie i pięknie żyć. Sam wiem, że są jednak pewne wartości niezmiennie ważne w wychowaniu, zwyczajach i obyczajach. Nie o tresurę mi chodzi, ale o nawyki, głębokie przekonanie, że tak, a nie inaczej należy żyć i postępować. Chodzi nieraz o sprawy elementarne: dlaczego kłaniam się starszym, czemu trzeba być w teatrze, na spotkaniu, czy odczytanie, czytać książki itp., jaki winieniem być wobec ludzi ode mnie zależnych i przełożonych, jaki jest sens pracy, której się podjąłem lub powinienem się podjąć, czy posiadam dostatecznie rozbudzony samokrytycyzm własnego postępowania w pracy i wobec innych ludzi? Różnicowanie w tych sprawach zyskałem w rodzinie i u nauczycieli. Wydaje mi się, że przyszli radni, nie powinni jedynie troszczyć się o budynki i wyposażenie szkół oraz domów kultury i bibliotek, ale w równym stopniu o to, co młodzi ludzie z tych placówek wyniosą, wynieść powinni. Pozytywne nawyki, przyzwyczajenia w kształtowaniu charakterów, a nade wszystko przekonanie, świadomość, co jest słuszne, a co jest tej słuszności zaprzeczeniem, od tego zależy pożądana przyszłość młodych ludzi i kraju, w którym przypadnie im żyć i tworzyć, oby, pracować. Wiedza jest ważna, bardzo, ale ideałem są tacy nauczyciele i działacze kultury, którzy przede wszystkim wychowują.

Przekonania, jakie tu przedstawiłem, sprawiają, iż wiem, że przed nowymi radami stoją takie właśnie ważne zadania. Chciałbym w spełnieniu tych przedsięwzięć mieć własny udział.

grupa specjalistów różnych dziedzin. Może odczuli by oni między sobą większą więź i sens działania nie tylko zawodowego, ale też społecznego i kulturalnego? Sami byłby odpowiedzialni, ale równocześnie zdolni współuczestniczyć w życiu wieczorowym (sobotnim i niedzielnym) środowiska. Potrzeba wyżycia się młodych jest naturalna i konieczna. Partnerzy, którzy potrafiliby nadać właściwy kierunek, wskazać formy i pokierować całą sprawą — skąd mają się znaleźć, jeśli nie spośród nich? Jeżeli zastaniemy wybrani, możemy w radach gminnych, miejskich i wojewódzkiej niejednako uczynić, aby stworzyć po temu warunki. Szerzeje się nasze uprawnienia, a więc i pełniejsze możliwości działania. Tylko że w samych ludziach trzeba wywołać chęć i moc, które przebiegają w nas były i jest niemożliwe, aby nie odnalazły się obecnie w młodszym pokoleniu inteligencji pracującej na wsi i dla wsi. Nawet ci, którzy przyjeżdżają i odjeżdżają autobusami, mogliby od czasu do czasu wracać do miasteczka ostatnim PKS-em.

Mówimy o tym, że młodzi powinni wiązać swe życie dorosłe z wsią, z gospodarstwem. Myślę, że temu celowi może służyć podniesienie rangi zawodu rolnika. Wiele jest w rękach samych chłopów, ale mogą też temu służyć czynniki zewnętrzne, np. status „Wzorowego Rolnika”. Z legitymacją to potwierdzającą powinien gospodarz wszędzie mieć pierwszeństwo, nawet w przepelnionym autobusie wracającym z miasta.

Nie byłbym sobą, gdybym dla nowych rad i samego siebie nie widział zadania ratowania folkloru i pielęgnowania tradycji ludowej. Należy, moim zdaniem, tworzyć też wręcz stymulować. Folklor jest składnikiem całej kultury narodowej. Pisarze, zawodowcy ludowi powinni być częścią gości placówek kulturalno-oświatowych, a wystawy twórczości, pochodzącej z tego środowiska nie należały do rzadkości. Nie docenia się też roli, jaką w kształtowaniu wrażliwości i gustów dzieci mogłaby odegrać poezja ludowa. Literaci zawodowi naginają się niejako do psychiki najmłodszych, my, twórcy ludowi, nie musimy tego czynić, my już tacy jesteśmy, że i daleko może przyswoić sobie nasze myśli i uczucia.

W sumie jest o czym pomyśleć, niemająco będzie po wyborach do zrobienia.

Wypowiadają się: **ANDRZEJ CHMIELARCZYK**, aktor, dyrektor Teatru Muzycznego, **EDWARD DZIADOSZ**, historyk, dyrektor Muzeum na Majdanku i **BRONISŁAW PIETRAK**, poeta ludowy, kawał artystyczny.

**K**ALISKIE Spotkania Teatralne — jedyny chyba spośród festiwalu teatralnych, który nie posiada stałej formuły festiwalowej. Organizatorzy Spotkan, zapraszając teatry, nie kierują się ani kryteriami geograficznymi, ani tematycznymi. W Opolu mamy klasę polską, we Wrocławiu dramaturgię współczesną, w Toruniu będziemy teraz ponoć oglądać osiągnięcia młodych reżyserów... W Kaliszu można zaś zobaczyć wszystko — i klasę, i sztuki współczesne, polskie i obce. Słowem festiwal „dla każdego”. Na tegoroczne Spotkania wybrano teatry od lat uchodzące za najlepsze w kraju: Stary Teatr z Krakowa, Teatr Współczesny z Warszawy, Teatr „Wybrzeże” z Gdańska, Współczesny z Wrocławia, Nowy z Łodzi i Nowy z Warszawy, Teatr im. Jaracza z Łodzi, no i, oczywiście, Teatr im. W. Bogusławskiego z Kalisza. Nie zaproszono teatrów tzw. prowincjonalnych, terenowych, bo i po co, przecież i tak nikt nie uwierzy, nawet przy okazji festiwalu, że w Kielcach, Grudziądzu, czy Radomiu bywają czasem dobre przedstawienia. Zatem ze zdziwieniem patrzyliśmy, jak teatry, stale uchodzące jeszcze za „najlepsze”, pokazywały przedstawienia nie tylko nie wybitne, ale — można śmiało powiedzieć — niewielkiej wartości. Ponoć na teatralne przeglądy, festiwale, spotkania wybiera się zawsze najciekawsze przedstawienia, albo, jak przywykliśmy mówić, „najważniejsze dokonania artystyczne sezonu” (I). Niestety, trudno wciąż ustalić semantykę terminu „najważniejsze dokonania” czy „najlepsze przedstawienia” i nie wiadomo, według jakich kryteriów dokonuje się podziału na to, co się mieści w tych formułach, a co pozostaje poza ich zasięgiem (to znaczy, oczywiście, wiadomo, ale o tym się nie mówi).

Jednak warto było obejrzeć tegoroczne Kaliskie Spotkania, chociażby dla trzech przedstawień, wcale niebłahych i w zakresie problematyki i pomysłów inscenizacyjnych, opartych ponadto na doskonałych tekstach literackich, myślę tu o „Pułapce” T. Różewicza w reżyserii Kazimierza Brauna (Teatr Współczesny we Wrocławiu) oraz o dwóch przedstawieniach, których autorem jest Krzysztof Babicki, należący do najmłodszego pokolenia polskich reżyserów, zaliczony do grona tzw. „młodych zdolnych” (oby w przyszłości nas nie rozczarował). Jury festiwalowe przyznało mu zresztą jedną z głównych nagród za reżyserię i inscenizację.

### Panopticum według Krzysztofa Babickiego

... dwa tysiące lat myśli ludzkiej, zawartej w literaturze teatralnej, to na pewno więcej niż najwspanialszy pomysł jednego reżysera — twierdził kiedyś Konrad Swinarski. Wielu reżyserom słowa te nie wydają się zapewne słuszne, nie wystarcza im literatura sceniczna, albo nie umieją z niej korzystać. Stąd sięgają po powieści, dokument, opowiadanie, poezję, dokonując scenicznych adaptacji, które czasem stają się znaczącymi inscenizacjami.

Spektakl według opowieści Jerzego Andrzejewskiego „Już prawie nic” w adaptacji i reżyserii Krzysztofa Babickiego, przygotowany w Teatrze „Wybrzeże” w Gdańsku, jest tu dobrym przykładem. Opowieść Andrzejewskiego pokazuje starego pisarza

**W**ZRUSZENIE ogarnia człowieka, kiedy dowiaduje się, że w latach międzywojennych w takim kresowym i co tu dużo mówić — zapyziałym Tomaszowie Lubelskim czynnie były 32 restauracje! A każda inna, choć na ogół żydowska, co nie znaczy, że z koszmernym tylko jadospisem. Zapewne, pod względem kubatury nie umywały się te przybytki do dzisiejszego „Kosmosu”, który jeszcze kilka dobrych lat temu oferował zresztą pierwszorzędne dania główne i zakąskowe („tatarski” jak słoneczniki). Niedyskretnie knajpki tomaszowskie mieściły po kilka tylko stołków, ale w stosunku do niespełna 14 tys. mieszkańców miasta (1939) i tak tworzyły przestrzeń imponującą, która pochwalała niedźwiedzi i tujejszych obywateli. Tyle że dojeżdżać do nich było kłopotliwe; cały Tomaszów posiadał wtedy 6 km ulic, owsem, utwardzonych — ale przy pomocy drewnianych ball. Posługując się starą poetyką propagandy dodajmy, że działaj przez miasto przebiegał ponad 50 km dróg o tzw. ulepszonej nawierzchni.

Swego czasu jedliśmy w Tomaszowie często i myśle, że ta moja dawna zażyłość z miastem usprawiedliwia nieco ów wstęp liryczno-gastronomiczny. Pamiętam, w jak zwyczajnym rytmie zmieniał się kierownictwo Powiatowego Domu Kultury, jednego z najważniejszych w ówczesnym województwie lubelskim, i z jakim zaciekawieniem oglądałem po raz pierwszy Muzeum Ziemi Tomaszowskiej (kilka tysięcy eksponatów), strze-

## Edward Dziadosz:

**M**AM mówić o przyszłej Wojewódzkiej Radzie Narodowej i o zadaniach radnego, a więc i o sobie. Lokalna, jak gdyby, sprawa; ogólniejsza, jeżeli rozważać ją na szerszym, ogólnopolskim tle. Mimo to jednak nie umiem o niej mówić bez refleksji, bez zastanawiania się: jaki jest świat. Nie tylko jakie było wczoraj, ale jakie może lub powinno być jutro. Nie można się pozbyć myśli o tym, jaka będzie przyszłość człowieka w zagrożonym świecie. Myślę, że niepokoi to nie tylko tu, w miejscu, w którym wypowiadam te słowa: na Majdanku. Świat zagrożony, więc zadania bardzo aktualne: oddziaływanie na współczesne nam pokolenia. Nie jedno, na nas wszystkich, którzy żyjemy w tej części Europy, najbardziej na młodych.

Na pewno przyszła rada i jej członkowie będą musieli brać pod uwagę możliwości gospodarce województwa, także, gdy będą rozpatrywali sprawy związane z kulturą. Potrzeba dnia jest absolutny realizm. Program gospodarzy i rozwoju kultury trzeba będzie wymierzać, znając możliwości realne jego spełnienia. Nie minimalizować, na pewno nie, ale też nie kreślić planów nieuczynialnych. Co władza w radzie, co administracja przedsięwzięcia, musi być koniecznie wykonane. Tożsamość nowych rad sprawdzalna będzie już nawet po roku. Wciąż musimy mieć w momencie programowania świadomość konieczności wykonania zamierzeń. Wszyscy, ja też, którzy uczestniczą w tej działalności społecznej, powinni twardo chodzić po ziemi. Możliwości są mierne, z tego trzeba sobie już zdawać sprawę. Tożsamość rad nie może być już więcej naruszona. Mają znaczyć wiele i będą znaczyły, jeżeli radni i całe rady kierować się będą realizmem. Nie tym klasycznym, zastanawiającym perspektywy, nie pozwalającym ich dojrzeć i wytyczać, ale jednak realizmem większym niż kiedykolwiek.

Każdy program — także ten finansowy — zależy od naszego rozeznania, posiadania wszystkich danych o zastanym, jak i tym, co najpilniej teraz i w przyszłości jest potrzebne w danej dziedzinie, a więc od naszej pełnej wiedzy. Tę powinniśmy jako radni uzyskiwać sami, ale nadto przez rzetelną informację administracji państwowej, do której wybrani powinni zawsze — zgodnie z ustawą — mieć nieskrępowany dostęp. Wykonanie tego programu zależeć będzie przede wszystkim

## Bronisław Pietrak:

**S**KOŃCZYŁEM w maju 70 lat, ale razi i przygnębia mnie pewna luka w naszym życiu społecznym. Działają starsi i najmłodsi, np. harcerze, a brakuje młodych. Jest to nazbyt widoczne. Nie ma, przeważnie, w tym właśnie odcinku wiekowym, więzi międzypokoleniowej. Nie tylko jako twórca ludowy, ale i człowiek uznający mądrość, która zrodziła się u źródeł, chce przypomnieć odpowiednią prawdę, porzekadło: chcesz mieć dobrego konia, ujeżdżaj go ze starą ręką! Przyszli radni i rady, które w czerwcu się ukształtują, nie mogą, oczywiście, same tej przestrzeni wypełnić, ale mają możliwość i muszą stworzyć co temu warunki, szczególnie w dziedzinie kultury, oświaty i wychowania. Oby kandydaci spośród członków Związku Młodzieży Wiejskiej, Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej i w ogóle młodzi zostali wybrani, bo i tu, w rządzeniu, moglibyśmy już współdziałać i zasypywać wspólnie ten parów.

Abyśmy, np. w dziedzinie kultury, nie strzelali nadal w powietrze, musimy dobrze znać cele działania, a jeśli nie są one dopracowane, określić je i wyznaczyć. Sprawy gospodarce, niedobory w tej dziedzinie można w stosunkowo niedługim czasie wyrównać, natomiast trudniej to uczynić w dziedzinie wychowania i kultury. Jest niewątpliwie jedno środowisko, gdzie metody ideowo-wychowawcze się sprawdziły: wojsko. Sądzę, że ścisłejsze związki studentów i młodzieży ze starszych klas szkoły średniej są potrzebne nie tylko z zakładami przemysłowymi, ale i właśnie z wojskiem. Obserwując, że zanikają, obumierają w ostatnich latach kluby „Ruchu” i „Rolnika”, potrzebne są w nich co prędzej innowacje.

Na I Kongresie Kultury Polskiej zaproponowałem utworzenie klubów inteligencji wiejskiej. Pracuje dziś na wsi, szczególnie w wioskach i miasteczkach, które są siedzibami gmin, spora



Eisbergera umierającego w luksusowej szwajcarskiej klinice, który stając w obliczu śmierci, z całym zyciowym doświadczeniem i mądrością próbuje dokonać obrachunku z długim swym życiem. Spektakl Babickiego poszerza problematykę opowieści, uniwersalizuje ją, bohaterem czyni nie tyle postać pisarza, co w ogóle temat śmierci. Zamiast miejsca zdarzeń nie jest klinika, ale jakby burdel, teatr, hotel, sąd (może ostatecznym), przedśmionkiem raju; bardzo funkcjonalna okazuje się tu scenografia Anny Rachel (również nagrodzona).

W przedstawieniu znać ogromną dojrzałość reżysera w pokazywaniu

życia glist". Postaci bohaterów — przedstawicieli świata sztuki XIX wieku: Hansa Christiana Andersena i aktorki Johanny Luizy Heilberg ich brutalny świat z niedobrym, wstydlwym dzieciństwem, a potem w nieustannej walce o miejsce w wielkim świecie, choć wiadomo, że także zgnitym, brudnym, zafalszowanym. Obraz świata, rozpięty między tanią knajpą, gdzie małe dziewczynki tańczą na bilardowym stole, i dworem, teatrem królewskim, gdzie wielcy świata nawzajem się pożerają. I dokąd uciec? Ten świat musi boleć, nie może śmieć się, choć czasem wydaje się komiczny, zabawny. To przedstawienie, oprócz istotnych treści i wielu inte-

świetle katastroficzne wizje pisarza, proroka — komory gazowe, miejsca masowej zagłady, postaci gestapowców. Często powraca obraz okna, za szybą postać małego Franza w białej koszulce i postać służącej. Okno, lampa, książka, niania, ten obraz sielankowego dzieciństwa, który zakłóca jedynie lęk przed ojcem, przywoływany po wielokroć, ma być miejscem ucieczki przed koszmarem życia, przetrzeźnienia ocalenia.

#### Dla kogo taki teatr?

Pytanie to było chyba najważniejszą refleksją, jaka zrodziła mi się w czasie oglądania „Rodziny” Antoniego

Zestarzały się nie tylko realia, ale i dowcip sztuki. Aż dziwne, że reżyser (Roman Kordziński — Teatr im. Bogusławskiego w Kaliszu) sięgnął jeszcze po ten dramat. Można oczywiście doszukiwać się w tej sztuce wieloznaczności, jakiegoś „drugiego dna”, choć nie ma wcale potrzeby, bo są przecież lepsze dramaty Abramowa, choćby „Maestro”, czy z wcześniejszych „Klik-kiak”, „Derby w pałacu”.

Roman Kordziński uparł się na „Aniola na dworcu”. Na szczęście odnalazł tam zagadnienia etyczne, pokazał problem stosunków między ludźmi, niestałość i względność wszelkich ludzkich sądów. Spojrzał na tekst z pewnym dystansem, ważne niegdyś, dziś zabawne dosyć, „chłopskie sprawy z kwitami podatkowymi” przekształcił w bardzo efektowną formę piebajskiego „teatru” na dworcu.

#### Między poezją a bluźnierstwem

W pierwszym dniu Spotkań Teatr Kaliski trochę nas rozczarował. Pokazano „Burzę” w reżyserii Józefa Słotwińskiego. Z dramatu Szekspira zrobił Słotwiński jakąś bajeczną opowieść o losach księcia „czarodzieja” Prospera, jego pięknej córki i dzikusa Kalibana. Zawsze wydawało mi się, że „Burza” jest o czymś więcej, ale Słotwiński pewnie mniema, że wystarczy mieć jakikolwiek pomysł na przedstawienie i już jest dobrze, a ponadto uważa chyba, że nikt nie pamięta, co napisał ten „starożytny” autor jak Szekspir. A jeśli publiczność teatralna czytała kiedyś, raz jeden przynajmniej, Szekspira? Słotwiński dość często zajmuje się zapewne realizacjami komedii i, być może, wydaje mu się, że różne niby „komediowe” gagi, które dobre są w przedstawieniach Zapolskiej, Bałuckiego, Schönthana, nadają się również do „ozdabiania” dramatów Szekspira.

#### Festiwal a kształt teatru

Oglądanie przedstawień teatralnych w ramach jakiegoś festiwalu lub spotkań skłania zawsze do refleksji, czy takie przeglądy, „zestawy” przedstawień dają obraz życia teatralnego, czy jest to aby prawdziwy obraz naszego teatru. Oczywiście wiadomo, że istnieją jakby dwa rodzaje sztuki teatralnej: teatr festiwalowy i ten codzienny, nieefektywny, który ma stale kłopoty z zapelnieniem widowni (w Kaliszu był nadmiar), z zaangażowaniem dobrych aktorów i stworzeniem dobrego zespołu (dotyczy to oczywiście teatrów tzw. terenowych), z objazdem i tysiącami innych. Stąd nie jest wcale bez znaczenia, że teatry, żyjące na co dzień pośród rozlicznych trudności, posiadają interesujące i wartościowe przedstawienia, ot choćby teatr w Kielcach „Kartotekę” Różewicza, „Króla IV” Grochowiaka; teatr w Częstochowie — „Hłoba” Karola Wojtyły; teatr w Płocku — „Onych” Witkacego, ale tych teatrów nigdzie się nie zaprasza. Ten codzienny, zwyczajny teatr, bez nagród, bez kibicowania krytyki, przeznaczony dla „zwykłego” widza, przynosi często wcale niebłahę wartości, i on także, nie tylko ten „festiwalowy”, kształtuje przede wszystkim oblicze naszego teatru. Zabrzmiało nieco banalnie — wiem. To stare prawdy, wszyscy je znamy od lat, ale kogo to kiedykolwiek obchodziło?

## Po Kaliskich Spotkaniach Teatralnych

# Targowisko wartości

Lidia Wójcik

tak trudnych, eschatologicznych tematów; wydaje się, jakby wszelkie przemyślenia dotyczące tajemnicy istnienia, śmierci, Boga, miłości miał już poza sobą. Wie, że różne są śmierci (związane nie tylko z kulturami), jak różne są wartości ludzkiego życia; rozumie, że jesteśmy jednak na tyle dojrzały, by nie krzyknąć o swoich tragediach. Szkoda tylko, że reżyser poucza nas o tym przy pomocy chwilami „mocnych efektów” (jak w teatrze studenckim, z którego zresztą Babicki wyrósł), bo przecież i tak byśmy zrozumieli i znamy tę prawdę, o której mówi Ionesco w „Dzienniku w oknach”, że „Jesteśmy już zdeteminowani, a będziemy prowadzeni do końca na smyczy jak psy”.

Przedstawienie próbuje przypomnieć, że człowiek wtedy gubi się i wszystkie jego dzieła stają się absurdalne, gdy zostaje odcięty od metafizycznych i transcendentnych korzeni. Reżyser nie narusza ich, próbuje odebrać śmierci pozory jej absurdalności, inscenizuje ją. Rozpacz istnienia i lęk niewiedzy odchodzących w samotność śmierci zamienia w nadzieję nowej rzeczywistości. W finale przedstawienia „ciemności” okrywają ziemię, ale widz wie, że za nimi muszą być „Bramy Raju”.

Świat, jaki pokazuje Babicki w swoich przedstawieniach, jest pełen brzydoty, wulgarności, bólu. Obrazy, widzenia, które towarzyszą wielkiemu pisarzowi w godzinie przedśmiernej, to brutalne sceny związane z osobą matki aktorki (Julii Capuletti, dziewczki i striptizerki jednocześnie), morderstwem kalekiego synka, samobójstwem żony.

Ten niepiękny wcale świat pokazuje Babicki również w przedstawieniu sztuki współczesnego dramatopisarza szwedzkiego Pera Olowa Enquista „Z

resujących pomysłów inscenizacyjnych, ma jeszcze wspaniałe aktorstwo (nagrodzone zresztą głównymi nagrodami festiwalu) Jana Nowickiego i Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej; z jaką przyjemnością ogląda się na scenie wielką aktorkę, która jest jednocześnie jakby muzą, oblakną, wiedzącą, królową.

#### Przestrzeń ocalenia

„Pulapkę” Tadeusza Różewicza uznano za najwybitniejszy tekst polskiej dramaturgii powojennej. Jury Kaliskich Spotkań przyznało Różewiczowi główną nagrodę ministra kultury i sztuki. Ostatni dramat Różewicza, osnuty na motywach biografii Franza Kafki, pokazuje koszarne obrzydliwie naszego świata, komory gazowe, człowieka w sytuacji „zwierzęcia ofiarne”, lęk w obliczu śmierci, mówi o kondycji artysty i szerzej chyba o la condition humaine.

W przedstawieniu Kazimierza Brauna najbardziej interesujące wydają się rozwiązania przestrzenne. Przestrzeń „Pulapki” jest przestrzenią pamięci, wspólnej pamięci bohaterów i widzów, pamięci historycznej, literackiej. Czas „Pulapki” jest symultaniczny, płynny (mówi o tym Józef Kellera w programie teatralnym). Widzenia Kafki są obrazami z przeszłości i projekcjami w przyszłość, jest Kafka niewątpliwie jednym z „proroków” XX wieku.

Braun buduje sceny przedstawienia również symultanicznie; pokazuje obrzydliwie z dorosłego życia Kafki (na proscenium), jednocześnie w oknie na piętrze kamienicy, gdzie od czasu do czasu zapala się światło, pojawiają się obrazy z dzieciństwa Franza, a w bramie kamienicy w przyćmionym

Słonimskiego. Popularną w dwudziestolecie komedię antyrasistowską, wymierzoną również przeciw dyktaturze, w reżyserii Edwarda Dziewońskiego pokazał Teatr Nowy z Łodzi. Czy jest jeszcze sens wystawiać tę komedię, nie przynoszącą chyba nic prócz kilku, bardzo trafnych wrażeń, dowcipów („o Zydach”), które dawno jednak znalazły się w powszechnym obiegu i słyszące w teatrze wcale nie bawią. Komu właściwie potrzebne są takie przedstawienia (teatrom? reżyserom? widzom?) i taki iluzjny przedstawiający teatrzyk. Chyba tylko dla widza, który niewielkie stawia teatrowi wymagania, któremu wystarczy, jeśli teatr bawi, wszystko jedno jak. No, ale cóż, widownia składa się nie tylko z wnuków Kordiana, także i chłama. Słyszałam, jak w foyer część publiczności (zwłaszcza młodej) wyrażała głośno swoje niezadowolone. To bardzo dobry znak, bo jak twierdził Słonimski: „Dopóki publiczność nasza nie nauczy się wyrażać głośno niezadowolone, nie będzie u nas życia teatralnego”.

#### Odrzewanie starych spraw

„Aniol na dworcu” — dramat napisany u progu lat sześćdziesiątych najwyraźniej chyba ujawnia estradowe korzenie twórczości dramatycznej Jarosława Abramowa. Kiedyś był ponoć „satyrą polityczno-społeczną”, ale dzisiaj jest tylko obrazkiem na temat biurokracji, dygnitarstwa, oszustw drobnych urzędników w Gminnej Spółdzielni i w punkcie skupu żywności. Od dziecka niemal przyzwyczaiłam się o tym słyszeć, ale dzisiaj już mi się nie chce słuchać, i nie jestem tu chyba odoobniona.

# Rocznik Tomaszowski

żone przez wypchane monstrum o wyglądzie wilka, a założone przez doktora Janusza Petera — świętego lekarza, organizatora służby zdrowia społecznika w dobrym starożytnym stylu, autora regionalnych prac historycznych, który zmarł w 1963 roku, a więc 21 lat temu, lecz do dziś żyje — to nie frazes! — w pamięci tomaszowian. Pamiętam też, jak pod przewodnictwem Mieczysława Borokowskiego — pracował wtedy w Komitecie Powiatowym — przemierzaliśmy teren powiatu, zbierając materiał do repertariu o cerkiewkach, który ukazał się w „Kamieniu” pt. „Z drewna powstały, w proch się obrócą”, a więc pod tytułem jakby profetycznym, sarkastycznym nie trzeba było być protektem, żeby przewidzieć los tych kruchych i opuszczonych budowli.

Nie pamiętam natomiast, abym na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych natknął się tam na jakiegoś świeżego śladu działalności Tomaszowskiego Towarzystwa Regionalnego, co nawet dziwne, albowiem istniało ono od dłuższego już czasu, tzn. od 13 września 1962 roku.

Co działo się w Tomaszowie później, nie wiem. Można wszak przypuszczać, że przynajmniej w minionych kilku latach — zaskakujące, prawdziwe — coś się tam dzieje, wartościowego dzieła, o czym świadczy nr 1 „Rocznika Tomaszowskiego”, opublikowany niedawno (choć z datą 1981 r.) właśnie przez Tomaszowskie Towarzystwo Regionalne, dzięki finansowemu wsparciu Wydziału Kultury i Sztuki UW w Zamostniu.

Zeszyt, liczący około 140 stron czystego tekstu, z którego zaczerpnąłem cytowane na wstępie fakty gastronomiczne, ma w zasadzie profil historyczny; poszczególne artykuły, materiały i sprawozdania, wspomnienia oraz publikacje z dwóch innych działów „Rocznika” omawiają społeczną, gospodarczą i polityczno-wojenną przeszłość regionu, poczynając od „Problematyki Grodów Czarnieckich” (Jan Gurba), po „Walkę z ukraińskim nacjonalistycznym podziemiem w powiecie Tomaszów Lubelski w latach 1944—1947” (Antoni Walenty). Kwestie nowszej daty znajdujemy m.in. w tekstach Władysława Luchowskiego: „Tomaszów

wczoraj, dziś i jutro” (jutro, znaczy się, według starych planów i możliwości) i Zdzisława Spaczyńskiego: „Tomaszowskie Towarzystwo Regionalne (1939—1980)”.

W tym ostatnim materiale, autorstwa redaktora naczelnego omawianego wydawnictwa, znalazłem jedno zdanie, które mogę potraktować jako wyjaśnienie tego, że kiedyś tam nie udało mi się odszukać śladów żywej aktywności TR w sferze kultury. Spaczyński pisze, że w tej dziedzinie „nie notowano większych dokonań. Ogromne zaangażowanie i pasja twórcza doktora Janusza Petera stanowiła tu przykład odoobniony”. Dalej wskazuje autor, że obecnie Towarzystwo, liczące ponad 300 członków (niemal połowa w oddziale warszawskim), „nawizuje na co dzień do bogactw tradycji społeczno-kulturalnych, popularyzuje historię, kulturę i piękno ziemi tomaszowskiej, a także troszczy się o dalszy rozwój całego regionu”.

Sądząc po zawartości premierowej edycji „Rocznika”, tomaszowskie regionalistów, zdaje się interesować jednak kultura w

najszerszym rozumieniu tego pojęcia. Frygnając, że w kolejnych zeszytach wydawnictwa chętnie przeczytałbym przecież jakiś artykuł np. o zabytkach regionu czy o poziomie uczestnictwa jego mieszkańców w kulturze artystycznej i intelektualnej naszych czasów. A nawet i socjologiczny artykuł o konkursach tańca towarzyskiego, odbywających się od dłuższego czasu w Tomaszowie.

Gdybym wszak jednym zdaniem miał scharakteryzować „Rocznik Tomaszowski”, to powiedziałbym tylko tyle: wartościowa, interesująca, bezwzględnie warta kontynuacji inicjatywa, w tej opinii odoobniona.

Nie jestem w tej opinii odoobniony, skoro 3-tygodniowy nakład wydawnictwa został wykupiony w ciągu dwóch dni!

IJK



Henryk Makarski

## OSTATNIA DESKA RATUNKU

Ciebie na pomoc wzywam,  
ciebie, o Miłości,  
która spornych żywiołów  
gniew spinasz łańcuchem

(Jan Kochanowski)

już zużyta jak srebro luster  
pociemniałych od gniewu i gorączki —  
od cierpliwęj wiary w lepsze jutro —  
w to wszystko co skarłowaciało  
nad miską

już ochrypla od szeptów próżnej  
namiętności od zimnych pocałunków —  
pieszczot jednostronnych

od pokłonów przed tymi których trzeba  
prosić tak nisko

nie dopita jak szklanka herbaty  
gorącej na dworcu — kiedy gwizdże  
już na ciebie pociąg jak na psa —  
a ty skaczesz ale wciąż za wolno  
za blisko

jeśli jesteś miłością naszą narodową  
cieplem rodzinnym — żywicą —  
napelnij nas znowu

napelnij zaufaniem — napelnij nas troską  
o wszystko

Stanisław A. Lukowski



Pokornie stoję w kolejce

Poeta Waldek powiada  
napisz wiersz o Kochanowskim  
przypomnij że poeta bywałeś

Mistrzu  
podzwoniasz mi nieważną lekturą  
szkolną i tą wczorajszą  
pośpieszną bez tchu bo dziecko choruje  
oddech znudzony ucieka do snu  
i głowa schnie jak za dziewięć  
sześćset pięcioro przepychać z  
miesiącem na miesiąc a kartki  
drożęją

Twa kanciana brzyła  
w spokoju kamiennym na wprost  
Czechowicza — równo oddychacie  
z godnością mistrza patrzysz na  
zagoniony tłum

A ja tak chciałbym  
pójść w gości pod lipę  
przedniej polszczyzny  
głęboko nawdychać umknąć  
przed codziennym

że od miesiący za koldrą i sweterkiem  
bo na targu osiemset  
żona coraz pośpieszniej oddycha  
a chłopakowi ukradli skafander

Schronić się pod lipę  
choćby w ton trenu dotkliwie  
bolesny Zabrakło  
delicji szampańskich Nie ma o Tobie  
wiersza Mistrzu czarnoleski

Janusz Olczak

## DO JANA

Wybacz że pisze do Ciebie skromny magister  
który nigdy nie był w Padwie czy choćby Bolonii  
różne drogi nas wiodły różne gościły zajazdy  
tymczasem nawet Twoje wesole toasty grzmiąły  
jak orędzie

wszystkie nasze troski smutki i modlitwy  
podniosłeś do majestatu Jagiellonów  
mówiłeś o spustoszeniu Podola o zagrożonej  
Troji

potem przysłyły lata jeszcze trudniejsze  
ciężkie jak bezsenne noc

następne pokolenia dopisywały komentarz  
do każdej kolejnej książki pasował twój cytat  
dzieci nosiły Cię w tornistrach  
i każdy żołnierz prócz buławy  
dźwigał też pieśń o Ojczyźnie  
dla której pierwszy rym znalazłeś  
w wielkim słowniku poprawnej polszczyzny

dziś dalej o Tobie piszemy  
prace doktorskie i nowe wiersze  
może Twoja muza czyta te fraszki  
a może czytać się wzbrania

Jacek Dąbala

## SYNDROM FRASZKI

Jeżeli dłoń do mnie wyciągną,  
a ja uścisknę ją zwyczajnie,  
widzę w ich oczach pobażanie  
i wielcy są jak zmiłowanie.

Potem spacerkiem w obie strony  
prowadzą cię na smyczy,  
mówią dostojnie i z podtekstem,  
że tam coś niby drzemie jeszcze...

Dobroć tych szeptów obiecuje,  
oni są kwiaty, wstyd, klony,  
gdy siebie widzą to nas nie ma —  
prawie Norwidy w swych żeremiach

Cisza tam głosem mówi słodkim,  
zębą przykrywa płaszczem miny,  
jeżeli nawet wszedłeś chętnie...  
oni już w trop za tobą byli.

Nie ujadają i nie krzyczą,  
dziękują ci, że tam wstąpiłeś:  
na pewno dobry będziesz kiedyś,  
przecież się po to urodziłeś.

Ciało się kurczy i nadyma  
jak każda skóra wyprawiona,  
z wierzchu pokryta grubo farbą  
w środku niewiele jest zmieniona.

Choćby więc sygnet mieli złoty  
i tytuł długi zakupili,  
znajdzie ich ktoś jak Kochanowski,  
fraszka przy uchu im zakwili...

Zbigniew Kościński

## TRYPTYK Z PROLOGIEM

Pamięci Jana z Czarnolasu

### PROLOG

Biegnie czas... wieki... a Ty ciągle młody  
i słowa Twoje są ożywczą wodą,  
a myśli rozdzierają ciemności jak mieczem.

Tyś pierwszy świat przekonał, że pod polskim  
niebem z surowej zgrzebnej mowy  
puszczańskiego ludu mogą również wyrastać  
najprawdziwsze wiersze.

Adam, Juliusz i Cyprian — oni wszyscy z Ciebie.  
Czyś większy od nich? Tego dziś nikt pewnie  
nie wie. Któż jednak by zaprzeczył, że Ty byłeś pierwszy?

Nauczyłeś nas myśleć i kochać po polsku.  
Ty, któryś wielbił życie i życiu chciał służyć,  
dawałeś siłę trwania wśród wichru i gromów.

Dlatego też do dzisiaj pozostałeś młody  
i do wszystkich pokoleń z przeszłości powracasz.

### I

Wsi spokojna, wsi wesola,  
który głos twej chwale  
zdola?

„Słońce pali, a ziemia idzie w popiół prawie”,  
„rzeki dnem uciekają”,  
a Ty w cieniu lipy  
gościa zapraszasz do siebie.  
Janie Kochanowski,  
wszystko ogarniałeś szeroko miłością  
i nic, co ludzkie, nie było Ci obce.  
Często w rozmaitych słowach  
powtarzałeś za Terencjuszem:  
„nihil humani a me alienum esse”.

### II

O nierządne królestwo i zginienia bliskie

Nawoływałeś do zgody,  
przestrzegałeś przed chciwością i zbytkiem.  
Mężny Antenor ciągle żyje z nami,  
od wieków uczy miłości ojczyzny,  
każe poświęcić dla niej swą prywatę.  
Wtóruje mu rozumny Ukalegon.  
A z drugiej strony stoi Aleksander  
próżny, rozpustny. I z nim Iketaon —  
demagogiczny mówca znakomity,  
także uległy i chwiejny Priamus.  
W nich zgubę ojczyzny widziałeś, Janie,  
i trafnieś dostrzegł, że nierządne państwo  
zginie, choć jeszcze świeci nad nim słońce.

# Popas poety w Lubartowie

Apolinary Nosalski

L EWARTÓW, dzisiejszy Lubartów, było to  
wtedy miasto nowe, liczące niewiele ponad  
dwie dziesiątki lat. Założył je ojciec Mikołaja,  
Piotr Firlej z Dąbrowicy, wojewoda  
lubelski i radomski, tudzież kazimierski starosta,  
uzyskawszy przywilej od króla Zygmunta  
Starego przez wzgląd na liczne zasługi. Nazwa  
Lewartów wzięła się od herbu „Lewart”,  
którym ród Firlejów się pieczętował.

Niebawem Firlejowie, podobnie jak wiele  
innych magnackich rodzin, porzucili religię  
katolicką i przeszli na kalwinizm. Do  
powstającego miasta zaczęli przybywać z  
kraju i z zagranicy liczni wyznawcy  
nowej wiary, budować się tu i osiedlać,  
ciesząc się życzliwością i opieką  
możnego wojewody. Lewartów zyskał w ten  
sposób wielu zdolnych rzemieślników,  
co sprawiło, że rozwinął się nader  
szybko.

Sam dwór stał tuż pod miastem, przy  
wjeździe od strony Szczekarkowa, w  
otoczeniu rozległego parku z młodych  
jeszcze drzew. Był drewniany, podobnie  
jak dwory wiejskie, ale swoim ogromem  
niejednemu zamkowi czy pałacowi mógłby  
dorównać. Z podziwieniem opowiadano w  
okolicy, że wnętrza też miał wspaniałe,  
iście po pańsku urządzone. Właściciel  
jednak wkrótce rozpoczął budowę  
murowanego pałacu, który — podobnie  
jak nieco wcześniej wzniesione zamki w  
Dąbrowicy i Janowcu — miał być  
wzorowany na królewskim Wawelu. W  
sąsiedztwie leżały już nagromadzone  
duże ilości kamienia łupanego i cegły.  
Podróżnych przyjęto bardzo gościnnie.  
Pan wojewoda sam aż na ganek wyszedł,  
by obu dworzan królewskich powitać i  
prosić do komnat.

Jaśko znalazł miejsce w czeladnej  
izbie, gdzie niebawem zjawili się też  
oba pacholki, zadaw-

szy koniom obrok. Służba wnet z  
kuchni przyniosła posiłek. Pacholek  
pana Nideckiego, kiedy się już najadł  
do syta, przeżegnał się, po czym  
splunął nieoczekiwanie i mruknął:

— Kalwińskie gniazdo.

— Cichaj, co nam do tego — ofuknął go  
towarzysz. — I tak wnetki stąd  
jedziem, bo ich miłości w Lublinie  
jeszcze dzisiaj być zamierzają.

— To dobrze, bo wolałbym tu nie  
nocować. W nocy zle ma do człowieka  
łatwiejszy przystęp.

Bakalarz Jaśko nie wdawał się z nimi  
w rozmowę. Siadłszy wygodnie, pragnął  
trochę wypocząć przed czekającą go  
dalszą drogą.

Widać zabobonemu pacholkowi  
sądzone było jednak nocować w  
„kalwińskim gnieździe”, bo wkrótce  
okazało się, że tego dnia już nie  
pojadą dalej.

Spiesząc do Lublina, dworzanie  
musieli wstąpić, choć nie po drodze,  
do lewartowskiej rezydencji  
jegomości wojewody, wieźli dlań  
bowiem z kancelarii królewskiej  
pisma w sprawach sztykującego się  
sejmu. Nie zamierzali tu wszelako  
dłużej nad godzinę popasać, chociaż  
pan Kochanowski, jako że znał  
Firlejowską gościnność, od razu  
powątpiewał, czy to się uda.

Wojewoda powitał ich szczerym  
sercem. Zwłaszcza Kochanowskiemu  
rad był, znali się bowiem obaj z  
dawniejszych czasów, jeszcze ze  
studiów w Padwie. Potem pan Jan  
często odwiedzał Dąbrowicę,  
rodowe gniazdo Firlejów słynące z  
gościnności.

— Szczęście to doprawdy niemałe,  
że znakomici sekretarze królewscy  
zblądźdźli w proste progi mojego  
domu — rzekł. — Teraz tak  
rychło nie wypuszczę waszmościów,  
o, nie!

Gdy pan Nidecki próbował  
wymawiać się, że w służbie  
królewskiej będąc, muszą co  
prędzej jechać do Lublina,  
gdzie mają huk roboty przed  
rozpoczęciem sejmu, nawet i  
słuchać nie chciał.

— Alboż ja nie wiem, co to służba? Wszak  
przed sejmem także wiele pilnych  
spraw i obowiązków jeszcze  
mnie czeka — odrzekł, wydawszy  
wargi, po czym zwrócił się do  
Kochanowskiego: — Mój miły  
Janie, doprawdy krzywdę mi  
uczynicie, nie pobawiwszy u  
mnie choćby do jutra. Wstaw  
się za mną u swego towarzysza,  
który się okazuje taki  
skrupulant.

Nie było rady, zwłaszcza że  
gospodarz wydawał już polecenie  
służącym, by zaprowadzili  
gości do przydzielonych im  
izb. Ledwie mieli czas obmyć  
się nieco po podróży i  
przebrać, a już proszono do  
stołu.

Jaśko ani się spodziewał, iż  
także weźmie udział w  
biesiadzie. Pan Firlej, który  
sam w młodości otrzymał  
wysoką edukację, ogromnie  
cenil ludzi wykształconych  
bez różnicy kondycji i stanu.  
Potrzebował ich ciągle  
zarówno na swym dworze,  
jak i dla szkół, które  
zakładał i otaczał opieką.  
Skoro więc się dowiedział,  
iż królewscy dworzanie  
mają ze sobą nauczyciela,  
zaprzagnął go poznać, a  
może i pozyskać dla siebie.

Doprowadziwszy pośpiesznie  
do porządku swój  
wygląd, udał się Jaśko do  
wskazanej komnaty. — Oto  
ów parczewski bakalarz,  
mości wojewodo — przedstawił  
go Jan Kochanowski.

Wojewoda, spojrzawszy  
nań, uśmiechnął się  
laskawie.

— Miło mi waści poznać —  
odezwał się. — Sładaj tu z  
nam, jedz, pij, niczego  
sobie nie żalując.

Bakalarz, nim zajął  
miejsce przy stole suto  
jadłem wszelakim i winem  
zastawionym; skłonił się  
dworsko i odrzekł, nie  
chcąc okazać się  
prostakiem:

— Dziękuję waszej  
wielmożności za  
laskawość i zaszczyt, jaki  
mnie, skromnego  
scholarza, tu spotyka.  
Już to sława Firlejowskiego  
dworu w całej Rzeczypospolitej  
jest znana.

— A toś w sedno utrafił,  
imienniku! — ucieszył się  
pan Kochanowski. —  
Pozwólcie, mości  
wojewodo, że przypomnę  
jedną fraszkę, com ja  
niegdyś, korzystając z  
waszej gościnności w  
Dąbrowicy, ułożył:

Gościu! Skoro przestąpisz  
progi marmurowe,  
Przed geniuszem onego  
miejsca pochyl głowę.  
Firlejów dom ten chowa.  
O ich pięknej sławie  
I o walecznych czynach  
w rycerskiej rozprawie  
Jeśliby przemilczeli  
spółobywatele,  
Zacząliby je chwalić  
w głos — nieprzyjaciele!\*

— Szczerza to prawda! —  
zawołał pan Nidecki. —  
Toć ród Firlejów nieraz  
przed Tatarzyńcem  
nasze wschodnie  
ziemie osłaniał.



Pociesz mię, jako możesz, a staw  
się przede mną  
Lubo snem, lubo cieniem, lub  
marą nikczemną

„Teraz wszystko umilkło, szczyre pustki w domu”  
skarżyłeś się po śmierci ukochanej córki.  
Miłowałeś tak bardzo. Chciałeś sam się ludzić.  
W Twój prosty świat wtargnęła niespodzianie  
trwoga.

My wiemy znacznie więcej. Cóż nam jednak  
z tego?

Nie umiemy zatrzymać czasu ani zgonu.  
Wiemy, że nigdzie nie ma owych wysp

szczęśliwych,  
ani Styksu, Charona, ni zlej Persefony,  
ani także... Cóż z tego? Nie jest źle na świecie.  
Cóż nam więc pozostało? Wierzyć, że się uda  
w męce i trudzie szczęście zbudować na Ziemi.  
Ale przecież nie chcemy, by nie można było  
plakać...

## Elżbieta Cichła - Czarniawska

### PEJZAZ URODZAJU

wyszedłem  
o wczesnym poranku słowa  
które umknęło spod strzech  
szykując się do wysokiego lotu

wędrowałem pielgrzymim krokiem  
przez żywe miasta  
księgi urodzajne  
przez mapy dziejów  
gościńce przyjaźni

dokopywałem się pokładów światła

echa podniosłem z italskich dolin  
kazałem im oddychać w pieśni

śnieżna sorakta była mi laskawa  
winny moszcz znaczeń  
wytrysnął z puchara

ale kto z nas wie  
jaki kres  
przeznaczili mu bogowie

i oto najprostszy pejzaż urodzaju

wyciosałem go w słowa przestośnej winnicy  
gdzie krąży ciepło  
gdzie dojrzewa promień

ulepiłem go z gliny czerwonej jak krew  
i z czarnoziemu  
z serca  
z czarnolasu  
gdzie człowiek w śpiewie w troskach  
i przemianach

kłosa dni ścina

oto najprostszy pejzaż urodzaju

utoczyłem go w słowa przeszczodrej mennicy  
obmywszy wodą  
i otarłszy kwieciami

stąd wywiodłem ciasto  
i język mój zliział czerwocową pogodę  
i miodu lipca  
i stycznia zamiecie

tum zakosztował miłości jak ognia  
z którego w wieki przejrzysta pochod

tum zakosztował ciszy

tum spojrział w oko śmierci  
nazbyt srogiej

o  
wystudzony dom mój tak doszczętnie  
że w nagich żyłach wiatr przepędza zimy

tum przyzywał mądrość  
i kazał wierzyć w męstwo  
zagubionym

bo szczęśliwy  
kto może pragnąć więcej  
niż mu pragnąć dano

więc napełniłem dzban  
u najczystszych źródeł  
i ku tej niskiej ziemi  
chylię się z czułością

oto najprostszy pejzaż urodzaju

po rozłogach  
po ugorach  
pług czasu rozwiłki  
złote ziarna mowy

i weszły

tu zamieszkałem  
w przelęczach wieków  
bom oracz uparty  
i pracowite woły moje

nie baczę na porę  
ani na uwiad liści  
ani słońca przeloty

znają smak żniw sprawiedliwy



Kamienica w zachodniej pierzei Rynku lubelskiego (dzisiaj nr 2), w której w 1584 r. zmarł Jan Kochanowski.

Rys. Józef Tarłowski

## Andrzej J. Malinowski

### PIĘŚNI NAD PIĘŚNIAMI KSIĘGA PIERWSZA

jest czas rodzenia  
był czas umierania  
w ciszy  
nareszcie wiosna  
wołam radośnie w słońce  
plawiąc się w promieniach  
ulice prześwietlone wół  
wypełnione zaczepnymi  
spojrzeniami  
cieszą odkryte kolana  
głodne oczy  
uśmiech mijanych kobiet  
bije żarem w przyspieszony oddech  
śpiewam cały  
nieznaną piosenkę  
gdzieś zastyszana  
w ramionach zeszłego lata  
jest czas wołania  
jest czas miłowania

Wojewoda, który przed chwilą aż pokraśniał z zadowolenia teraz nieco spochmurniał.

— Ciesz się, mój panie, że o tym choć pamiętasz, waszność panie Nidecki — odebrał z przymówką.

— Wiem przecież, jako przeciw nam, kalwinom, otwarcie występujesz.

Nidecki zmieszał się, ale Kochanowski w sukurs mu wnet pośpieszył.

— Inszą zaprawdę rzeczą są sprawy wyznawania jednej czy drugiej wiary, inszą zaś cnoty i zasługi dla dobra Rzeczypospolitej, które szczerze mój towarzysz pragnął przypomnieć. Ja zaś dodam! A jeśli komu droga otwarta do nieba — Tym, co służą ojczyźnie... \*\*)

— Już ty, mój zacny Janie, potrafisz każdą rzecz sprawiedliwie rozstrzygnąć — rzekł pan Firlej, rozjaśniony oblicze. — I pięknie pisać. Wszakże twój hymn „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary” wszystkich, zarówno katolików, jak i reformatorów za serce chwytła. Może nawet nie wiesz, że tu kalwini na nabożeństwach go śpiewają?

Bakalarz przysłuchiwał się rozmowie, którą wiedli biesiadnicy, dość często winem do siebie przypijając. Na niego zdawali się nie zwracać już uwagi. Wojewoda gościł ich w jednej z paradnych komnat, przestronnej i jasnej, o dużych oknach opatrzonych w przezroczyste szybki oprawne w olów. W kącie znajdował się marmurowy kominek, na którym płonął doglądany przez pacholika ogień, pod ścianami zaś stały skrzynie bogato rzeźbione i ozdabiane srebrem. Ze ścian zwieszały się perskie i tureckie makaty oraz broń ozdobna, pamiątkowa. Nad drzwiami widniał herb Firlejów: na czerwonej tarczy lampart w złotej koronie. Służba, której niewiele się tu kręciło, także w barwy Firlejowskie była ubrana. Dwór wydawał się Jaśkowi cichy i pusty, czemu trochę się dziwił. Słyszał wszak o utrzymywanej przez pana Firleja kapeli, błaznie i uciesznych karzełkach dla rozveselania gości.

— Cicho u mnie teraz i smutno — mówił wojewoda, jakby odpowiadając jego myślom. — Raz, że to adwent, a poza tym pani małżonka, wzięwszy córkę, do Dąbrowicy się wybrała. Ja zaś paru spraw jeszcze chciałbym tu dopilnować przed rozpoczęciem lubelskich obrad, które nie wiadomo jak długo się przeciągną.

Rozmowa zesłała na sprawy publiczne.

— Bo też i na długie obrady się zanosi — stwierdził Kochanowski. — Król jegomość zamierza doprowadzić w Lublinie do ostatecznego za-

warcia unii. Zapowiada, iż nie dopuści, by posłowie rozjechali się przed jej podpisaniem.

— Jeżeli się zjadą — powątpiewał pan Firlej.

— Litwini cały czas brudzą przeciwko nam. Albo źle im to? Wszak mają przodek w obieraniu króla i przodek w lasce pańskiej, z czym dla Korony wielka szkoda.

— Myślę wszelako, że się zjadą — wtrącił pan Nidecki, który mało się dotąd odzywał. — Szlachta litewska obstała za królem i za unią, jeno Radziwiłłowie są przeciwni. Możni oni, ale nasz król znajdzie na nich sposoby.

Wojewoda zaśmiał się gorzko.

— Już znalazł, wyrzekłszy się dziedzictwa na tron wielkksiążęcy. A im w to graj!

— A któż by po nim ów tron dziedziczył? — zapytał Kochanowski ze smutkiem.

— Prawda. Król Zygmunt August będzie ostatnim z rodu Jagiellów...

Zapanowało milczenie. Jaśko zastanowił się nad słowami pana Firleja, które nie tylko wyrażały oczywistą już prawdę, lecz kryły w sobie cały niepokój obydwu narodów i niepewność. Król ostatni z rodu... Jaka przyszłość potem nastąpi? Czy lubelski sejm zdolen będzie ją zabezpieczyć? Wojewoda niespodziewanie przypomniał sobie bakalarza.

— Wasz nudzisz się tu pewno przy naszej rozmowie — zagadnął. — Młodszy i weselisz towarzystwo byś wolał.

— Jako żywo nie, wasza wielmożność — zaprzeczył Jaśko. — Słucham, co mądrzejsi ode mnie mówią i uczę się.

Jego odpowiedź, podobnie jak odezwanie się na początku, wyraźnie spodobała się wojewodzie. Przez chwilę uśmiechał się dobrotliwie i jakoś tajemniczo, wreszcie zapytał:

— A jeśli bym miał waści coś do zaproponowania, zgodzisz się?

— Tego nie wiem, pierwaj musiałbym ową propozycję od waszej wielmożności usłyszeć — odparł bakalarz, choć od razu poczył się domyślać, w czym rzecz.

— Hm, waszmościowie nie byłiby przeciwni, gdybym zechciał tego oto młodzieńca u siebie zatrzymać?

Kochanowski poglądził brodę w pewnym zakłopotaniu i odpowiedział na pół żartem:

— Jeśli pan wojewoda na swoją stronę go przeciągnie, to my inszego skryby będziemy musieli sobie poszukać.

— Jakże więc, bakalarzu, ostaniesz u mnie? Uczynię cię tu w Lewartowie rektorem szkoły. I grosza nie poskapię, obiecując, także wygod odpowiednich. A może wolisz się jeszcze namyśleć, tedy na odpowiedź poczekam do jutra.

Jaśko nie zastanawiał się nawet przez chwilę. Wczoraj z pewnością zgodziłby się bez wahania, ale teraz nie mogło już być o tym mowy.

— Jam gotów dać waszej wielmożności natychmiast odpowiedź — odrzekł śmiało. — Otrzymał tu propozycję wielce doceniam, wszelako w żaden sposób nie mogę jej przyjąć. Jestem już rektorem szkoły w Parczewie i tylko na czas sejmku od przełożonego kanonika permisię<sup>\*\*\*)</sup> dostałem.

— Ręczę, że u mnie miałbyś lepiej niż u swego kanonika.

— Wasza wielmożność, jam nie z takich, co jeno wygód szukają.

Pan Firlej popatrzył nań ze zdumieniem, po czym niespodziewanie roześmiał się.

— Widzę, że z tobą nie tak łatwo! Cóż: nie, to nie, siłą na swoją stronę nie będę waści przeciągał, jako pan Jan tu prawil.

— Mości wojewodo, on już widać nie z jednego pieca chleb jadł i twarda zeń sztuka — odparł pan Jan, śmiejąc się także.

— My tu sobie gadu-gadu, a puchary w stół tymczasem wrosnąć gotowe — rzekł wojewoda, unosząc swój kielich do góry. — Pijmy, bo się Bacchus na nas pogniwał. Ty zaś, mości Janie, gwoli rozweselenia powiedz nam tu parę swych krotchwilnych fraszek, jako niegdyś w Dąbrowicy bywało!

Jak Kochanowski odpowiedział na poczekaniu:

Rad się widzę u ciebie, gospodarzu miły,  
Ale wypić tak wiele nie mej słabej siły.  
A gdy mi każesz pełnić sobie albo komu —  
Jakobys rzekł: Nie chcę cię mieć długo w swym domu<sup>\*\*\*\*)</sup>

(Fragment powieści dla młodzieży pt. „Słońce nad basztą”, która ukaże się w Wydawnictwie Lubelskim w br.)

\* Jan Kochanowski: „Na wieś Dąbrowicę”. Przekł. d. Juliana Eismunda.

\*\* Jan Kochanowski: fragment z „Pieśni o cnotcie”.

\*\*\* Permisja — pozwolenie, zwolnienie.

\*\*\*\* Jan Kochanowski: fraszka „Do gospodarza”.



## W Normandii 40 lat temu (2)

# Dzień „D” po polsku

Mieczysław Wieliczko

**N**A dobrą sprawę przygotowania do operacji „Overlord” rozpoczęły się dopiero w grudniu 1943 roku, gdy w drodze powrotnej z konferencji „Wielkiej Trójki” w Teheranie Roosevelt, wizytując wojska w Tunisie, zakomunikował gen. D. Eisenhowerowi o mianowaniu go dowódcą operacji. Już 23 grudnia gen. Eisenhower przedstawił koncepcję rozmieszczenia dowódców, potem odbył szereg rozmów w USA i 13 stycznia 1944 roku udał się do Londynu z pakietem wstępnych założeń operacji. Trzeba było zsynchronizować dziesiątki elementów składających się na sukces w walce, od pogody i stanu morza (które są podobno neutralne) poprzez współdziałanie sprzymierzonych sił lotniczych, morskich i lądowych, wraz z ich służbami zaopatrzenia.

Optymalne warunki operacji wynikające z... fazy księżycy, stanu morza — przypływu i godziny wschodu słońca, przypadły w dniach 5—7 czerwca. Mrok nocy potrzebny był do ukrycia konwojów morskich (ich liczebności i kierunku), światło księżycy dla desantu lotniczego, a niski stan fali odsłaniał wmontowane w pobrzeże pola minowe i przeszkody inżynierskie (zapory i zasieki), które trzeba było zniszczyć, by desant mógł „przeskoczyć” z barki na trwały ląd brzegu. Takie „prozaiczne” uwarunkowania określił dzień „D” — 6 czerwca 1944 roku.

Wybrano teren na odcinku półwyspu Contentin od kanału Carenton na zachodzie po ujście rzeki Orne, pas około 80 km wybrzeża bez portu. Dawało to czynnik zaskoczenia i skutecznej dezorientacji Niemców (aż do 24 lipca nie wierzyli, że jest to otwarcie drugiego frontu), ale tworzyło trudności. Jak przerzucić przez „szeroki” odcinek kanału La Manche masę wojsk i sprzętu oraz utrzymać średnie zaopatrzenie dobowe w ilości 600—700 ton materiałów dla jednej dywizji? Planowano zaś użyć w pierwszym rzucie 11 dyw. piech., 3 powietrzno-desantowe, pancerną, 8 brygad panc., bataliony specjalne, armijne grupy artylerii i inne oddziały pomocnicze z ich służbami.

O różnej porze nocy 5 na 6 czerwca wypłynęło z portów brytyjskich 6939 jednostek: 1213 okrętów bojowych, 4126 desantowych, 736 pomocniczych i 864 statki handlowe, kierując się ku Normandii na pięć wybranych odcinków plaż o kryptonimach „Utah”, „Omaha”, „Gold”, „Juno” i „Sword”. Bezpośrednio przed lądowaniem ponad 2 tys. bombowców zrzuciło na ten odcinek Wału Atlantyckiego 8 tys. ton bomb, zaś nawałę artyleryjską na pozycje niemieckie podjęły przypływające zespoły okrętów bojowych. Pod osłoną ich ognia ze wschodem słońca rozpoczęło się lądowanie. Wstawał dzień „D” i zapisywała się nowa karta historii powszechnej, wtedy tak oznaczona.

Co w tej karcie zapisali Polacy?

Inwazja była przedsięwzięciem niezmiernie złożonym, stąd udział Polaków trzeba przedstawić według elementów całości.

Pierwszym była osłona rejonów lądowania od strony otwartych wód kanału La Manche i w tym celu „budowano” sztuczne porty („Mulberry”) z falochronami („Gooseberry”) złożonymi ze starych bądź uszkodzonych statków i okrętów oraz specjalnej konstrukcji betonowych kesonów. Takie „zadanie” przypadło statkowi „Modlin”. Pływał pod polską banderą blisko 40 lat! Zasużył się w II wojnie, ale już nie nadawał się do służby morskiej... Wraz z 60 innymi jednostkami, wśród których były niegdyś sławne, brytyjski pancernik „Centurion”, francuski „Courbet”, holenderski krążownik „Java”, popłynął M/S „Modlin” pod płazę koło Arromanches, opuścił banderę do połowy masztu, załoga opuściła statek... Wybuch rozerwał poszycie burty w ośmiu miejscach. Statek osiadł na dnie i wystając z wody, łamał burtami fale. Nadal pełnił służbę morską.

W zespołach statków handlowych floty inwazyjnej popłynęły: „Kmicic”, „Kordecki”, „Chorzów”, „Narocz”, „Wilno”, „Katowice”, „Kraków” i „Poznań”. Wiozły sprzęt, amunicję i wojska inwazyjne. W następnych dniach ciężko pracowały na liniach łączących porty brytyjskie z odcinkami „Utah” i „Omaha”. Zaopatrywały walczących Amerykanów. W tej służ-

bie swoisty dramat przeżył M/S „Poznań”. Przywiózł 2300 ton amunicji i bomb. Przygotowywał wyładunek, gdy zerwał się sztorm. Do burty „Poznań” przycumowało 5 barek desantowych, szukając osłony od fali. Sztorm przybierał na sile i barki, pomimo odbijaczy, zdzierały poszycie burty. Fale zerwały zakotwiczone kesony, które żywił rzucił na drugą burtę „Poznań”. Uszkodzony statek skierował się ze śmiertelnie niebezpiecznym trafem na zatopionym czołgu amerykańskim. Doznał nowych uszkodzeń. Po czterech dobach walki z żywiołem rozpoczęto rozładunek. Po prowizorycznej naprawie „Poznań” wypłynął 13 lipca do Penarth koło Cardiff i oddany został do remontu. Nikt z załogi nie opuścił statku, wszyscy służyli ochotniczo. Warto wspomnieć, że „Poznań” i pozostałe statki serii „francuskiej” („Wilno”, „Kra-

Wspólnie z ORP „Dragon” w tym zespole bojowym były jeszcze ORP „Krakowiak” i „Ślązak”. Uczestniczyły w ostrzale wybrzeża ogniem kierowanym przez oddziały inwazyjne. Stąd szły sygnały, a po salwach dział okrętowych proste meldunki: „...uratowaliśmy naszą skórę”, „Dziękuję”, „Piękna robota”, „Bądźcie gotowi!”. Natomiast ORP „Błyskawica” i ORP „Piorun” brały udział w osłonie wojsk inwazyjnych od atlantyckiej „strony” kanału La Manche, utworzonej przez zespół 8 niszczycieli (4 bryt., 2 kanad. i polskie). Stoczyły bitwę morską pod Ushant opodal Brestu, w której „Błyskawica” zatopiła niemiecki duży niszczyciel „Z-32”, zaś wspólnie z niszczycielami kanadyjskimi „zapędziła” inny okręt niemiecki na skały wysepki Batz.

W tym rejonie alianckich działań osłonowych operacji „Overlord” pełnił służbę 304 dywizjon „Ziemi Ślą-

i we Francji w 1940 roku. Zreorganizowany i uzupełniony według brytyjskiego etatu pod nazwą 1 D Panc., wyruszył z portów Tilbury i Portsmouth, jako kolejny rzut walczącej w Normandii 21 GA. Konwoje morskie przetransportowały 381 czołgów, ponad 4 tys. pojazdów mech. i armat oraz 16 095 oficerów i żołnierzy dywizji na plaże w rejonie Arromanches i Courseulles. Dywizja zbierała się w rejonie Bayeux opodal Caen i weszła w skład 2 Korp. 1 A Kanad. 7 sierpnia była gotowa do walki.

Równoległe niemiecka GA „West” siłami 6 dywizji panc. i 2 dywizji piech. wykonywała przeciwdzierzenie na kierunku alianckiej ofensywy w stronę Bretanii. Zapadła decyzja okrążenia i zniszczenia GA „West”. 3 A Amer. wykonała zwrot na Argenton-Falaise. Tu z północy uderzał 2 Korp. 1 A Kanad., który wspólnie z 1 A Amer. i 2 A Bryt. miał rozbić



Rys. Józef Tarłowski

ków” i „Katowice”) zbudowane zostały niegdyś w Caen i po piętnastu latach służby pod polską banderą, los wojny nakazał im wozic amunicję i bomby, które obrócili w gruzy ich „rodzinne” miasto położone na przedpolu alianckiej inwazji.

Polskie okręty wojenne w zależności od klasy zostały przydzielone do zespołów bojowych. I tak, największy (jedyny jak dotąd krążownik pod polską banderą) ORP „Dragon” skierowany został do wsparcia działań na odcinku lądowania „Sword”. Zespół ten tworzyły brytyjskie pancerniki „Warspite” i „Ramilles”, monitor „Roberts”, pięć krążowników i mniejsze okręty. Przed 6 rano okręty utworzyły olbrzymie półkole i otwały ogień „salwą burtową” na brzeg. „Dragon” był na lewym skrzydle i ogniem 152 mm dział zniszczył w ciągu 49 minut baterię nabrzeżną w Calleville sur Orne, potem ostrzeliwał podobną w rejonie Trouville i stanowiska niemieckie pod Caen. Po wystrzeleniu pocisków popłynął do Portsmouth i wrócił na dawne stanowisko. Walczył przez sześć dni, uzyskując najlepsze wyniki ostrzału artyleryjskiego z całego zespołu. Po raz trzeci wrócił na front inwazyjny w nocy z 7 na 8 lipca. Nad ranem został trafiony przez „żywą torpedę” i doznał ciężkiego uszkodzenia (okręty towarzyszące „Dragonowi” wytopiły i ujęły sprawcę stordpowania). Poległo 37 marynarzy, 14 było rannych. „Dragon” nie nadawał się nawet do remontu... i został odciągnięty, osadzony na dnie jako wsparcie falochronu nr 5 portu „Mulberry B” na odcinku „Sword”. Podzielił wojenny los „Modlina”.

kiej” należący do Lotnictwa Obrony Wybrzeża. Niemcy, chcąc za wszelką cenę przerwać działania inwazyjne, rzucili na wody kanału La Manche flotyllę 36 U-bootów. Samoloty 304 dywizjonu, wspólnie z innymi załogami dywizjonów brytyjskich, rozbiły tę wyprawę, topiąc sześć okrętów podwodnych, a sześć uszkodzając. Reszta, ścigana z powietrza i przez jednostki morskie, rozpięchła się i wycofała do portów atlantyckiego wybrzeża Francji. Nigdy nie zdołano ustalić szczegółów tej bitwy powietrzno-morskiej.

Inne polskie dywizjony zgrupowane w 131 skrzydle myśliwskim (302, 308 i 317), oraz 305 dywizjon bombowy, walczyły w składzie brytyjskiego lotnictwa taktycznego, współpracującego bezpośrednio z wojskami lądowymi na plażach Normandii. Skrzydło 133 (dywizjony myśliwskie 306, 309 i 315), oraz 300 dywizjon bombowy, wspierały ofensywę w innych odcinkach działań inwazyjnych. Zapewniały panowanie w powietrzu i „oczyszczenie” dróg na przedpolu.

Taki był udział Polaków w pierwszym dniu operacji „Overlord”. W następnych fazach bitwy w Normandii sławą okryła się 1 Dywizja Pancerna pod dow. gen. Stanisława Maczka.

Był to szczególnie związek taktyczny, bowiem pod jednym dowódcą i w zasadniczym składzie kadry żołnierskiej oraz dwóch najstarszych pułków — 24 pułku ułanów (z Kraśnika) i 10 pułku strzelców konnych (z Łańcuta—Rzeszowa) — znakomicie walczył pod nazwą 10 Brygady Kawalerii Panc. we wrześniu 1939 roku

„pancerną pięść” Wehrmachtu gdzieś w rejonie Chambois.

Oś tego natarcia stanowiła szosa Caen-Falaise, „przecięta” pasami niemieckiej obrony. Ugrupowane po obu jej stronach dwie dywizje piech. na ciężkich transporterach miały „wejść” w tę pozycję, zaś w drugim rzucie dywizje panc. miały „przeskoczyć” tę rubież i zdobyć wieczorem 8 sierpnia Falaise. Plan Montgomery’ego był oryginalny, ale ryzykowny... Natarcie ruszyło w nocy 7 na 8 sierpnia. Atak przebiegał zgodnie z założeniem, potem tracił na szybkości, bowiem obrona „gęstniała” i prowadzona była z determinacją. Aż do 13.45 dywizje panc. oczekiwały na zdobycie wsi Tilly, co było sygnałem do startu wyprawy lotniczej z Anglii. Miała ona zbombardować główny pas niemieckiej obrony z jednoczesnym uderzeniem obydwu dywizji panc. W momencie ich marszu bojowego za piechotę, nastąpiło bombardowanie przez własne lotnictwo! Obydwie dywizje poniosły straty.

Idąca „w dym” bombardowania 1 D Panc. dostała się w zesrodkowany ogień armat przeciwpanc. z lasu i wsi Seequeville-Compagne. W tym boju utraciła 40 czołgów, ale na drugi dzień stanęła do walki w 100 proc. stanów bojowych! Na jej skrzydło, ze wschodu, wychodziły coraz to nowe kontrataki Niemców, skutecznie rozbijane aż do wieczora 14 sierpnia. W tych walkach Polacy zdobyli kilka miejscowości, „chodząc” pancernymi zagonami w poprzek szosy. Za nimi, „schodem w prawo”, Kanadyjczycy z zadaniem „podania ręki” Amerykanom. Kanadyjczycy nie nadawali... powstała luka.



# Rozmowa z Ryszardem Wojną

Dokończenie ze str. 1

W nocy 16 na 17 sierpnia dywizja otrzymała zadanie opanowania wzgórz 159 i 259 ponad Trunn. Do godz. 17.00 zdobyte zostały te cele i wzięto masę jeńców. W nocy 17 na 18 sierpnia otrzymała rozkaz natarcia na Chambois i zamknięcia drogi odwrotu Niemców. Po uzupełnieniu paliwa i amunicji, po całodziennych walkach, o godz. 2.00 wyszło zgrupowanie ppłk. Koszutskiego do ataku i zamiast Chambois zdobyło Les Champeux! Polacy mieli złe mapy i ppłk Koszutski „wjechał” w... sam środek 2 dyw. panc. SS. Rozgorzała mordercza walka, w której Polacy opanowali sytuację nad ranem, ale wtedy zostali zaatakowani (dwukrotnie!) przez alianckie lotnictwo, mimo oznaczenia rejonu przez pomarańczowe płachty rozpoznawcze. Ponieśli straty. Zerwała się łączność z dowództwem.

Gen. Maczek „po stracie” tego zgrupowania dostrzegł na mapie tuż nad miastem Chambois wzgórze Mont-Ormel (262 p.m. i 262 p.m. oddzielone siodłem), które miały charakterystyczny rysunek warstwic. Nazwał ten teren „maczugą” i z pozostałych sił dywizji sformował dwa zgrupowania uderzeniowe z zadaniem opanowania wzgórze. Do wieczora wzgórze „maczugi” zostały opanowane i tak dywizja weszła wąskim klinem pomiędzy Niemców. Ponownie „oberwała” od alianckich myśliwców i poniosła straty. Nawiazano łączność ze zgrupowaniem ppłk. Koszutskiego, który wieczorem dołączył do dywizji.

Trwała tu walka i efektowny sukces odniósł 1 pułk panc. na pld. wzgórze „maczugi”: pod lufy jego 50 armat dostała się licząca 2 km długości kolumna wojsk niemieckich. Pół godziny gwałtownego ognia i droga została zatarasowana rozbitymi czołgami, taborami i dziesiątkami trupów.

Około godz. 16 gen. Maczek otrzymał wiadomość, że w Chambois są Kanadyjczycy i proszą o wsparcie... Wiadomość z dowództwa korpusu (!) była pomyłką, ale już wyszedł tam 10 pułk strzelców konnych i opanował miasto. Wziął około 500 jeńców. Miasto obsadził też 24 pułk ulanów i batalion 359 pułku piech. amerykańskiej, który stracił łączność ze swoją jednostką. Chambois zdobyli i opanowali Polacy i to była prawdziwa wiadomość dla dowództwa korpusu! Tu i na wzgórze pld. „maczugi” przygotowano obronę „na wszystkie strony świata”. Pozostała luka na pld. wzgórze „maczugi”, opuszczonym przez oddziały zdobywające miasto.

Parły tedy elementy trzech dyw. panc. (w tym dyw. panc. SS), zgrupowanie 47 K Panc., zaś „z zewnątrz” uderzały w „maczugę” dywizje 2 K Panc. SS, które już uszły wcześniej z okrażeń. Najlepiej ujął tę sytuację gen. Maczek, pisząc: „...polska dywizja pancerna z dołączonymi dwoma oddziałami sprzymierzonych [wspomniany bat. Amerykanów i oddział rozpoznawczy Kanadyjczyków, który „dogonił” wreszcie Polaków — M. W.] chwyla byka za rogi i osadza jego rozszalały impet, podczas gdy reszta armii kanadyjskiej i 2 armia brytyjska trzepią po ognie i bokach uciekającego zwierzęcia, dodając mu tylko szybkości” („Od podwoły do czołgu”, Edynburg 1961 s. 184).

Ataki na Chambois i „maczugę” trwały cały dzień 20, przez noc i dzień 21 sierpnia. Wszystkie zostały zatrzymane! Walki były bardzo krwawe. Żołnierze 1 D Panc. z niezwykłym męstwem utrzymali pozycje, ponosząc duże straty. Atakowani z zewnątrz pierścienia obrony, w środku własnego zgrupowania mieli tysiące jeńców... Po południu 21 sierpnia dotarły z pomocą pierwsze rzuty 4 D Panc. Kanad.

Kończyła się zwycięska bitwa w Chambois. Nazwa „Maczuga” przeszła do historii II wojny jako ostatnia faza okrażania GA „West” pod Falaise. W tej bitwie Polacy wzięli do niewoli ponad 150 oficerów i 5 tys. szeregowców Wehrmachtu i SS, zniszczyli 55 czołgów, 44 działa panc. i 207 samochodów panc. oraz tabory. Straty własne wyniosły 56 oficerów i 1441 szeregowców, rannych i zabitych.

Pamiętką po bitwie jest grupa pomników na wzgórzach „La Massue” („Maczuga”), gdzie przy znaku dywizji wyrzyło napis „Pro libertate et pace” (Za wolność i pokój). Na cmentarzu Urville-Langennarie, przy drodze do Falaise jest 519 polskich mogił żołnierskich i 26 bezimiennych. Oto ostateczna cena boju polskich pod Falaise. Było to zamknięcie bitwy w Normandii, rozpoczętej 6 czerwca w dniu „D”.

Ale czy to wystarczy? Czy owo źródło samo w sobie posiada prawdę o owym fakcie?!

A do tego dochodzi cały szereg innych względów, które publicysta przy pisaniu musi brać pod uwagę, poczynając od społecznej odpowiedzialności za to, co pisze. Życie skłania często do kompromisów, które bynajmniej nie są godne potępienia. Każdy ustrój, każdy system wykształca własne reguły gry i zmusza nawet niepokornych publicystów do brania tych reguł pod uwagę.

Poza tym każdy z nas działa w określonych uwarunkowaniach politycznych i społecznych. Tak członek partii (nie każdy), jak i publicysta tygodnika „Solidarność”, wówczas gdy się on ukazywał, zaważa się przed napisaniem tego, co w jego przeświadczeniu jest prawdą, a co przyniosłoby szkodę ruchowi, z którym jest związany. Jeden z działaczy „Solidarności” tłumaczył mi to młodocia tego ruchu. Po prostu — uważał — w pierwszym okresie jego burzliwego rozwoju nie było miejsca na krytyczne oceny. A jeśli tak, to jak to się ma do absolutyzacji prawdy w życiu społecznym?

Sądzę, że publicyści dużo łatwiej byłoby mówić o nieprawdzie, niż o prawdzie. Przy nieprawdzie kontury sprawy są nieporównywalnie wyraźniejsze. Gdy na jednym z posiedzeń Komitetu Centralnego PZPR latem 1980 r. skrytykowano Główny Urząd Statystyczny za prezentowanie danych niepełnych, czy też dobranych tendencyjnie, to wskazano na zjawisko, które można było precyzyjnie opisać. Gdybyśmy jednak chcieli się pokusić o traktat na temat p r a w d y w statystyce, to doszlibyśmy na rozdroża komizmu, jak w owym dowcipie z lat pięćdziesiątych, kiedy anonsy o obniżce cen składały się z informacji, że lokomotywy potaniały o 2 proc., a masło zdrożało o 25 proc., zatem średnia wszystkich ruchów cen razem wyniosła tyle i tyle.

Czy to jednak oznacza, że nie ma prawdy w statystyce? Że nie jest to nauka? Jest! Tylko, że wyłożenie prawdy w statystyce związane jest z dziesiątkami i setkami okoliczności, które sporządzający statystykę i czytający ją muszą brać pod uwagę, jeśli ma ona względnie wiernie odzwierciedlać życie.

Czy to wszystko razem oznacza, że kwestionuję istnienie potrzeby prawdy w życiu społecznym i politycznym? A to jest już całkiem inna kwestia! Dążenie do prawdy jest wrodzone każdemu przyzwoitemu człowiekowi. Rzekłbym, że jest naturalną potrzebą człowieka. Ale czynienie w życiu politycznym i społecznym z prawdy — biorąc pod uwagę względność tego pojęcia — nadrzędnego kryterium prowadzi często do demagogii, a nieraz i warcholstwa, jeśli zważyć, że niemal każdy z nas ma swoją własną prawdę o otaczającym nas życiu społecznym.

Natomiast są niekiedy sytuacje, gdy większość jakiejś grupy społecznej czy całego społeczeństwa jest ogarnięta wspólną myślą, wspólnym dążeniem i właśnie to uważa za swoją P r a w d ę.

Owszem, w języku publicystycznym

można to nazwać prawdą danej grupy czy danego ruchu, ale nie musi to — chociaż może — mieć wiele wspólnego z prawdą tout court.

Na dobrą sprawę jedynym kryterium prawdy w życiu społecznym powinna być historia. Tymczasem można by wydać opasłą antologię opinii i komentarzy na temat naszych powstań narodowych — od insurekcji kościuszkowskiej po powstanie warszawskie — i ten, kto chciałby w tym znaleźć wspólną wszystkim ocenom prawdę, stanąłby przed zadaniem nie do wykonania. Co najwyżej mógłby próbować szukać wspólnego mianownika dla tych ocen. Ale czy wspólny mianownik mógłby być prawdą?

A mimo to, w imię swojej prawdy, którą historia może następnie zrelatywizować, od sześciu pokoleń przelato się tyle krwi polskiej...

Konkluzja: dbajmy o prawdę, ale nie obrażajmy się nią nawzajem.

— Jak scharakteryzowałby pan, będąc wszak publicystą i działaczem politycznym doskonale zorientowanym w delikatnej materii zjawiska, samopoczucie zawodowe dziennikarzy polskich?

— Powtórzę to, co napisałem w pierwszym tegorocznym numerze „Prasy Polskiej”: Istotą zawodu dziennikarskiego jest prawo do podmiotowości. Tymczasem mechanizmy, a nieraz i potrzeby życia społecznego, rzeczywiste lub domniemane, spychają na zbyte często dziennikarza do roli instrumentu. I w tym upatruję główne źródło nie najlepszego samopoczucia w środowisku dziennikarskim oraz niezbyt wysokiej — wbrew pozorom — rangi społecznej naszego zawodu w kierowniczych grupach aktywu partyjnego.

Jeden z bohaterów Balzaka wypowiedział kiedyś sentencję, że „dziennikarstwo wiedzie wszędzie, pod warunkiem... że się z niego wyjdzie”.

Ja bym dodał do tego jeszcze słowa: dostatecznie wcześnie...

— W prasie polskiej wybuchają czasami dyskusje ideologiczne, które ujawniają tak zróżnicowane stanowiska marksistów wobec zjawisk i wartości zasadniczych dla naszego ustroju, że pilnemu czytelnikowi owych polemik pozostaje jedynie zapytać: co się dzieje?!

— Jest rzeczywiście uderzające, że w warunkach rozgardiaszu ideologicznego, który trwa już ładnych parę lat, nie skrzyknęła się u nas grupa młodych, prężnych marksistów, by nadać ton naszym dyskusjom ideologicznym.

Widać istnieją głębsze przyczyny. Socjalizm, moim zdaniem, zrealizował (nie w Polsce!) większość ze swych możliwości rozwoju ekstensywnego. Obecnie znalazł się przed nowym etapem, którego ideologia nie umie jeszcze oświetlić. Być może czeka, by skomentować to, co stworzy praktyka?...

Weźmy np. takie podstawowe pojęcie, jak „sprawiedliwość społeczna”. Wydawałoby się, że jest już ono dostatecznie zdefiniowane. Tymczasem, moim zdaniem, na każdym etapie budowy socjalizmu powinno być definiowane od nowa, gdyż wchodzi w nie coraz to nowe komponenty. Sprawiedliwość społeczna w tym kształcie, jaki oznajmił narodowi polskiemu Manifest PKWN, jest dziś daleko niewystarczająca. Wyraziło się to m.in. w

żywiłowym rozwoju „Solidarności” jesienią 1980 r. Jej przywódcy odwoływali się wówczas już do innych składników sprawiedliwości społecznej, niż te, z których realizacji partia była tak — słusznie — dumna.

A skoro o tym mowa, to odczuwam ciągle brak pełnego ideologicznego wyjaśnienia tego, co zdarzyło się w Polsce w ostatnich czterech latach. Niby wszystkie fakty znamy i potrafimy zestawiać je razem, a przecież jest coś — odnośny wrażeń — co wyrywa się naszemu rozumieniu. I chyba stąd bierze się taka rozbieżność w dyskusjach na łamach naszych czasopism. A może to dobrze?

— Czy zaobserwował pan jakieś zmiany w postawach tych dziennikarzy, którzy własnowolnie odeszli z naszej prasy?

— Nie. Obawiam się, by dalszy ciąg ich życia nie sprowadził się do szukania uzasadnień dla stanowisk, jakie zajęli w 1981 r.

— Kryterium rentowności ekonomicznej stosowane jest od pewnego czasu także w obrębie prasy, no i poszczególne tytuły, nawet te z hasłem „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”, zabiegają o czytelnika, co zrozumiałe, ale przy pomocy metod wręcz tandetnych (ekspansowanie seksu, paranauki, cudotwórców i znachorów), co z kolei musi budzić sprzeciw u każdego w miarę rozsądnego człowieka, wychowanego w duchu racjonalizmu, który stanowi wszak fundament pedagogiki społecznej w Polsce Ludowej. Co pan o tym sądzi?

— Pozwólcie, że wyiączę z tego dzienniki partyjne. Te najczęściej utrzymały swój styl i spełniają lepiej lub gorzej swe zadania partyjne i społeczne. To, że pragną poszerzyć, szczególnie w wydaniach sobotnich, zakres poruszanych tematów, jest zrozumiałe. Wychodzą naprzeciw zamówieniu społecznemu. Martwi mnie natomiast te tygodniki, wydawane często pod szyldem partyjnym, niekiedy jako oficjalne organy Komitetów Wojewódzkich, z hasłem w szyldzie „Proletariusze wszystkich krajów...”, które dla przyciągnięcia czytelników — i przypuszczalnie dla zwiększenia dochodowości — sięgają pełną garścią do tematyki seksu, często w formie wulgarniej, oraz poświęcają zdumiewająco wiele miejsca sprawom irracjonalnym — horoskopom, wróżbom, bioprapdom, magnetyzmem. Brakuje tylko okultyzmu, ale może i to przyjdzie.

Jak na pisma marksistowskie, kierujące się materialistycznym widzeniem spraw życia, wychodzą one nazbyt daleko, moim zdaniem, modzie na irracjonalizm. Jeśli zaś chodzi o problemy erotyczne, to otwartość ich przedstawiania stanowi często obrazę dobrego obywatela... Względy dochodowości pisma nie mogą tego wytłumaczyć.

A swoją drogą, co za przeobrażenia przeszła prasa partyjna od rewolucyjnego purytanizmu, tuż po wojnie, do stanu dzisiejszego! W 1948 r. Władysław Machejek został przez kierownika wydziału prasy KC PPR, F. Chabera, zdjęty z funkcji redaktora naczelnego „Echa Krakowa”, gdy zamieścił w gazecie rysunkowy komiks i jedna z postaci miała odsłoniętą pierś...

— Dziękuję za rozmowę!

Rozmawiał: Ireneusz J. Kamiński

## Nowe przygody Stirlitza - Isajewa

POWIEŚCI Juliana Siemionowa cieszą się ogromną popularnością nie tylko dlatego, że jest on mistrzem w tym gatunku, lecz przede wszystkim dzięki temu, że każda z nich oparta jest na realiach z najnowszej historii i współczesności. Realia te — w postaci rozmów ze świadkami wojennych, okupacyjnych wydarzeń lub dokumentów, wynajdywanych w różnych archiwach, gromadzi autor w czasie licznych podróży po świecie. O swych nowych odkryciach i powstałych dzięki nim nowych książkach mówi Siemionow w wywiadzie dla miesięcznika „Sputnik”.

— Na pytanie, czego przede wszystkim pragnę dostarczyć czytelnikowi, odpowiem krótko: rzetelnej informacji. Człowiek poinformowany nie jest ani głuchy, ani ślepy. Jego umysł zaczyna intensywnie pracować. Dlatego tak ważne jest dla mnie poszukiwanie dokumentacji, zaś przekazanie jej w atrakcyjnej sfabularyzowanej formie to już druga część zadania. Napisałem teraz książkę pt. „Twarzą w twarz” — o zabytkach rosyjskiej sztuki, zagrabionych w naszym kraju przez faszystów. Znajdzie w niej czytelnik sporo autentycznych dialogów. Na przykład rozmowę z Albertem Speerem, do którego udało mi się dotrzeć, albo rozmowę z hitlerowskim generałem Karlem Wolfem, o którym sam Speer mi powiedział. „Niech pan uważa, on będzie łgał, on do dziś nie złożył

broni”. Przy pracy nad książką natknąłem się na dokument wręcz niezwykły — 35 stron maszynopisu z tekstem przesłuchania Bertolda Brechta i Hansa Eislera przez Komisję do badań działalności antyamerykańskiej i z pełną aprobatą wyników przesłuchań ze strony ówczesnego prezesa stowarzyszenia aktorów filmowych Ronalda Reagana. Oczywiście, wykorzystam i to cenne znalezisko, a w jakiej formie, to się dopiero okaże.

Sądzę że duży popyt na sensacyjną powieść polityczną, a tak można umownie nazwać gatunek, który uprawiam, zrodził się jako reakcja na fałszowanie najnowszej historii, na próby odradzania się faszyzmu w nowych formach.

Moich czytelników chciałbym przy okazji poinformować, że wkrótce dowiedzą się o dalszych losach standardfuhrera SS Stirlitza, czyli oficera radzieckiego Maksyma Isajewa, któremu przyszło zmagać się w pojedynkę z takimi tuzami hitlerowskiej morderczej maszyny, jak Borman, Mueller i Schellenberg. W mojej powieści „Rozkaz: przeżyć!”, podobnie jak i w sfilmowanych „Siedemnastu mgonieniach wiosny”, warstwa fabularna służy ukazaniu autentycznych wydarzeń.



# Gang Marcela na lepsze dni

**T**RWA wysięg do wielkich pieniędzy. Specjaliści od show businessu robią, co mogą, by efektywnie wykorzystać trwającą od paru lat hossę rocka. Widać to na przeróżnych festiwalach z rockiem w haśle. Ale rock powoli gaśnie. Dawni gwiazdorzyc tracą impet i inwencję. Nowi nie są w stanie dorównać nagraniem starych sprzed paru lat. Robi się coraz mniej ciekawie. Znak widomy, że należy powoli pakować „manatki” lub wziąć się za coś innego.

Alternatywą dla coraz bardziej wtórnego rocka ma być country. Tak przynajmniej chcieliby organizatorzy kilku festiwali krajowych z mrągowskim na czele. A skoro o country mowa, to żadna impreza nie może obejść się bez Gangu Marcela, do ubiegłorocznego festiwalu opolskiego towarzyszącego Maryli Rodowicz. Ale drogi ich rozeszły się bezpowrotnie i obecnie Gang zdaje się pracować solidnie na własne konto.

Leitmotivem w pracowitym żywocie estradowym tego tercetu ma być oczywiście country, choć traktowane w nieco inny, bardziej swojski sposób. Czy wyniknie z tego coś dobrego dla panoramy rodzimej rozrywk. przekonamy się, być może, niebawem. W każdym razie promotorzy Gangu są pełni optymizmu i wiary w jego siłę przebicia. Ja trochę mniej, ale coż liczyć się może jeden głos, nawet największego malkontenta. Umiejętności zespołu są nawet spore i gdyby je mądrze wykorzystać, kto wie, do czego można byłoby dojść. Tylko czy umiejętności i zapal muzyków nie zostaną rozmyte w kierunku zwanym „polka-zalkówka”?

Gang Marcela powstał na Śląsku w 1979 roku z inicjatywy trzyciolitowego wokalisty Marceliego Psiuka-Trojana. Zespołowi nie wiodło się najlepiej, dopóki nie wypatrzyła go Maryla Rodowicz. Dopiero w programie wykonawczy „Małgoški” Gang miał możliwość otarcia się o wielki świat i rozwinięcia skromnych do tej pory skrzydeł. Z Marylą nagrał dwa longplaje i koncertował na dziesiątkach festiwali, między innymi w Amsterdamie i Independence (USA).

Estradowa znajomość z czołówką piosenkarską, w tym także z „chlebodawczynią”, trwałaby może trochę dłużej, gdyby nie podszepty „życzliwych”, sugerujących zespołowi możliwie szybkie usamodzielnienie się. Miało być ono związane z perspektywą wielkiej kariery. A kto na takie propozycje jest dziś obojętny reka w górę. Wybór padł na rokujące nadzieje country, które dodatkowo zapewniła trójce wokalistów najlepsza możliwość wypowiedzi. W tym klimacie utrzymane zostały trzy recitale telewizyjne: „Kto piosenki te zna?”, „Białe światła” i „Kto jeśli nie ty”. Tak też śpiewa Gang Marcela na debiutanckiej „czwórce” Tonpressu z kompozycjami Trojana w języku angielskim. Śpiewa markowo, choć na miano gwiazdy country przyjdzie mu jeszcze trochę poczekać.

Wspomniana „czwórka” nie jest jedyną płytą zespołu. W tym roku Polskie Nagrania obiecują album z 11 kompozycjami Gangu, a trio przygotowuje się do kolejnej sesji nagraniowej. Tym razem będą to największe przeboje muzyki country, a więc hity z repertuaru Dona Williamsa, Kenny Rogersa, George’a Jonesa, Bellamy Brothers, Emylou Harris, Dolly Parton, Billy Jo Spears i Tommy Wynette’a. Utwory te już teraz stanowią część repertuaru przedstawianego przez zespół na koncertach. Oklaskiwane są gorąco. Ale czy można się temu dziwić? Country to miła muzyczka.

Muzycy, zapytani o niespodziewaną zmianę frontu, tak wypowiadają się o swej muzyce: „Wróciliśmy do naszych początkowych fascynacji, czyli ballady, muzyki folk i country. Tkwiły one w nas



Fot. Rafal Jaslonowicz

od dawna i tylko natłok estradowych zajęć wciąż odsuwał je na plan dalszy. W naszych piosenkach, umieszczonych na pierwszej płycie, nawiązujemy w zasadzie jedynie do country. Styl ten jest jakby środkiem do osiągnięcia własnych celów artystycznych. Chcemy tworzyć prostą, relaksową muzykę, ale i refleksyjną z elementami rodzimego folkloru”.

Niekiedy w ich utworach przejawiają się nuty rockowe, co muzycy wyjaśniają następująco: „W piosence „Ona w sobie coś ma”, prezentowanej w telewizji, nawiązujemy też do rock and rolla. Ale to jest tylko pastisz. Uproszczając, współczesne style muzyki młodzieżowej wzięły się właśnie z rock and rolla. Z tego szaleństwa proponowanego przez Elvisa Presley’a, Carla Perkinsa, Chucka Berry’ego. A rock and roll to nie innego, jak wzbuchowa mieszanka rhythm and bluesa i country. Wykonując zatem country, w naturalny sposób

sytuujemy się blisko rocka. Tyle tylko, że my podchodzimy do tej muzyki niejako od „białej” strony, natomiast rockmani od jej „czarnej” czyli bluesowej. Uprawiać w Polsce czyste country jest prawie niemożliwe i wręcz niepotrzebne. Możemy mówić, na przykład, o podobieństwie brzmienia czy aranżacji, ale kompozycje muzyczne wypełnić trzeba treścią (której nośnikiem są słowa) wynikającą z naszego, polskiego wnętrza”.

Artystyczne manifesty niby słuszne i rozsądne. Ważne tylko, jak zostaną one zrealizowane? Być może płyta obiecwana przez Polskie Nagrania przyniesie odpowiedź na to pytanie. Gang Marcela, czyli odtrutka na zawiedzione nadzieje entuzjastów rocka, występuje w składzie: Marceli Psiuk-Trojan, Barbara Pysz i Jerzy Różycki. Towarzyszy im dodatkowo zmienna personalnie grupa instrumentalna.

Istvan Grabowski

# Krzywdzić kobietę?

**S**łyszę: „Biedna, ale uczciwa kobieta odejmuje sobie od ust, aby ze skromnej pensji bufetowej kupić samochód. Ma trójkę dzieci w różnym wieku i o różnych potrzebach — wydatków jest więc sporo. Mąż, kryminalista, dwanaście lat na czterdziści swego życia spędził w więzieniach, bije, maltretuje, wszystko niszczy. Jest nawet tak bezczelny, że potrafi ze swoją kochanką przyjść do domu i gzić się na oczach dzieci. Żona oddała sprawę do prokuratora, ale oto mija rok i żadnych efektów nie ma. Mąż wykrzykuje: „Na sąd straciłem dwieście tysięcy złotych, sto tysięcy na komornika, gównu mi zrobisz...”

Biedna, uczciwa kobieta sprzedaje samochód. Potrzebne jej są środki do życia. Nie ukrywa, że bierze większą sumę, niż dała za wóz. Ale przecież to normalna!

**S**łyszę: Pracowity, oszczędny chłop-robotnik uciulał parę groszy. Powiedzmy — milion. Ponieważ wokół

szaleje inflacja, rozejrział się za sensowną lokatą kapitału. Jego przyjaciel doradził mu kupno samochodu u tej właśnie kobiety. Chłopo-robotnik po zapoznaniu się z dokumentami mógł stwierdzić naocznie, że kobieta jest prawną właścicielką wozu. Wypłacił więc jej umówione 800 tys. zł, ale samochodem niedługo się cieszył. Któregoś pięknego dnia, gdy zmęczony całodzienną tyranią przyszedł na parking, portier wręczył mu karteluszek, z którego się dowiedział, że komornik dokonał rekwizycji jego samochodu. Uczynił to z podpuszczenia męża tej kobiety — pijaka i kryminalisty.

W aucie chłop-robotnik miał magnetofon, radio, kasety i inne cenne przedmioty, które później dokupił. Wszystko to mu zabrano. A komornik przekazał wóz pod nadzór osoby trzeciej. Kim jest ta osoba trzecia? Matka tegoż kryminalisty!

No nie! To obraża najprostsze poczucie sprawiedliwości! Zawrząłem gniewem. Krzywdzić kobietę? Krzywdzić zaharowanego chłop-robotnika! Niedoczekanie!

A kimże jest ów kryminalista?

**S**łyszę: Prowadzi warsztat malarski. Zapewne dobrze musi kręcić skoro ma tyle forsy i na wódkę, i na przyjaciółkę, u której mieszkał. No, ja już z nim pogadam! Trafie też, gdzie trzeba!

Cicha ustronna uliczka w Radomiu. W głębi ukryta willa. Dwupiętrowa z czerwonej cegły. Z ogródkiem. Obok garaż samochodowy i jakiś warsztat rzemieślniczy. Młoda ładna kobieta, która otwiera mi drzwi, nie potrafi ukryć zażenowania. Owszem, mężczyzna, o którego pytam, tutaj mieszka. Nie, nie jest jej mężem, przyznaje.

— Proszę przyjść za kilka godzin. Na razie nie ma go w domu.

Korzystam z zaproszenia. Mężczyzna elegancki, zadbane, chociaż twarz ma jakby przedwcześnie podstarzała. Może faktycznie to skutki alkoholu! Jest jednak spokojny, opanowany, taktowny.

— W moim małżeństwie — mówi — były różne rozdziewki. Zresztą w którym małżeństwie wszystko układa się idealnie? Ze względu na dzieci chciałem ratować ten związek. Oszczędzałem, regularnie wpłacałem raty, a gdy wreszcie odebrałem samochód, na nią go zarejestrowałem. Dlaczego na nią? Myślałem, że uda się podreperować w ten sposób nasze małżeństwo. Najwyżej byłem, dziś to dobrze widzę. Bo właśnie od tego samochodu wszystko zaczęło psuć się jeszcze bardziej. Znalazła sobie faceta. Kiedyś zastałem drzwi zamknięte i zmienione zamki...

Nie należę do ludzi, którzy potrafią błagać, odpłacam się raczej pięknym za nadobne. Ja też znalazłem przystań, przeniosłem się do przyjaciółki.

Na dzień piątek posyłam przekazem pocztowym dziewięć tysięcy złotych miesięcznie. Samochodu który stanowił oszałamiającą małżeńską własność nie miała ona prawa sprzedawać bez mojej wiedzy i zgo-

dy. Rzeczony nabywca doskonale o tym wiedział zresztą ostrzegalem go wcześniej. Sprawę zaskarżyłem do sądu i uzyskałem pomyślny wyrok. W oparciu o niego komornik dokonał rzeźni. Wszystko stało się zgodnie z przepisami. Powiadomił go, napisał odpowiedni protokół ten go jednak nie pokwitował podpisem. Teraz staje na głowie, by samochód odzyskać. Wtamał się nawet do garażu mojej matki, gdzie wóz się obecnie znajduje. Wezwałem przewidującego odkretem kola, więc tylko wybił szyby i skradł kilka drobniaków.

Pan mówi, że miałem kryminalną przeszłość? W młodości siedziałem krótko za rozróbę uliczną. Kara ta dawno uległa zapomnieniu. Owszem, czasami piję, ale zachowuję umiar. Nie mogę tego powiedzieć o mojej jeszcze oficjalnej małżonce. Wielokrotnie wracała do domu zalana w sztok. Moja przyjaciółka nigdy u niej nie była, natomiast ona składała u niej wizyty. Z awanturami, oczywiście.

Cóż jeszcze mam dodać? Ten chłop-robotnik nie stawiał się przed sądem na sprawę. Wezwania były kierowane pod jego adresem na wieś, a on faktycznie zamieszkuje z moją żoną. Tak, tak, mowa o tym samym człowieku! I cała ta sprawa, jestem przekonany była najwykleszą fikcją. A kiedy na polecenie sądu milicjant udał się sprawdzić podane przeze mnie dane, zastał go w domu z moją nieletnią córką w podejranej sytuacji. Taka jest prawda...

Edward Smyk

Ps. Miliona to ja nie uciulałem do końca życia!



## PORTRETY - JAK MALOWANE!

**W**OKOŁ, na ścianach parterowej sali radomskiego Muzeum Okręgowego, klebiły się ciała z malarskich alegorii polskiego losu, miejscami jakby nawet erotyczne, a ten niewysoki jegomość, na którego natknąłem się po wejściu do eklektycznego budynku przy ul. Nowotki, stał spokojnie na taborecie przed wysoko podniesioną sztalugą i rzucając co chwila okiem na „Portret Zyda” Rafała Hadziewicza (1803-1886), w skupieniu kopiował ów wizerunek z minionego stulecia — trochę romantyczny, nieco biedermeierowski — jakby powiedział zmarły niedawno Tadeusz Dobrowolski, historyk sztuki tyle wybitny, co ciągle lekceważony przez permanentnych progresistów za sympatię dla tradycji artystycznej.

Moje entrée miało więc posmak symboliczny, albowiem na piętrze muzeum czynna była właśnie wystawa malarstwa i grafiki III Triennale „Prezentacje Portretu Współczesnego”, dla której przyjechałem do Radomia.

Wypada wszak dodać, że symbolika owa nie była taka prosta, nie ograniczała się do tego, że na parterze żywy malarz podglądał zmarłego malarza, a na górze też artykułowała się „kwestia portretowa”, postawiona przez współczesnych naszego kopisty. Rzecz w tym, że Triennale — zainicjowane pod nieco inną nazwą przez radomskie Biuro Wystaw Artystycznych w 1978 roku — zgromadziło prace, z których te najcenniejsze chwaliły się rzetelnym warszatem, dbałością o jakość powierzchni malarskiej, o piktoralne wykończenie każdego wręcz centymetra płóci, niejako utkanych przy tym ze znaczeń — jak to bywało w sztuce dawnej, kiedy struktura obrazów korespondowała z sensem zbiorowego doświadczenia, wyrażała narodowe czy społeczne mitologie, jawiła się jako tekst możliwy do odczytania nie tylko przez ludzi „z branży”, zaś cały obiekt musiał być wykonany solidnie, niczym przedmiot użytkowy, przeznaczony do wieloletniej eksploatacji.

Zauważyłem zatem w Radomiu, że najbardziej sugestywne portrety mieściły się w szeroko pojmowanej stylistyce realizmu. Inaczej mówiąc — bo kto potrafi dziś zdefiniować pojęcie realizmu?! — na III Triennale przyciągały uwagę te obrazy, które w sposób bezpretensjonalny przedstawiały ludzi, dyskretnie wyrażając zarazem jakieś ogólniejsze przeświadczenia autorów płócien, dotyczące człowieczego usytuowania w świecie. Intrygujące przy tym, biorąc pod uwagę dramatyczną erozję naszego bytu zbiorowego, że motywy rezygnacji wewnętrznej, degradacji, rozpacz czy beznadziejności rzadko pojawiały się na radomskiej wystawie, a jeśli, to z reguły w wizerunkach ludzi starych, zniszczonych przez prawa natury, egzekwowane, jak wiadomo, zupełnie niezależnie od Kodeksu Karnego PRL czy innych paragrafów dyscyplinujących życie społeczne. Tylko jeden z artystów uznał się (w alegorycznym autoportrecie) za torturowanego Zbawiciela, inny zaś oznajmił wprost, że autorytetów nie szuka wśród osób świeckich. Wspomnijmy, że na Triennale nadesłano około 350 prac, a zakwalifikowano do ekspozycji 200.

Te proporcje zdumiewają i z tego względu, że jakieś 10-12 lat wstecz na wystawach o zbliżonym charakterze człowiek przedstawiany był zwykle jako przedmiot okrutnych manipulacji (kto mi niedawno zarzucał manipulacje, kto?) totalnego rzeźnika-sadysty, który z podmiotu dziejów robił świderki lub tnie go na odciekające posoką polcie — wedle angiel-

skiego wzoru z obrazów Francisca Bacona i bez odrobiny respektu dla swojej rzeczywistości, nie dającej jeszcze wówczas powodów do niepokoju: moralnego, spożywczego i metafizycznego, tym bardziej, że po „gorącej linii” między Moskwą a Waszyngtonem płynęły słowa pełne ludzkiego sensu.

Jak sprawa wygląda dzisiaj, każdy wie, tymczasem na radomskiej wystawie nie odczuwało się atmosfery zagrożenia, przeciwnie, w niejednym z wyróżniających się i trafnie nagrodzonych przez jury płócien dźwięczał ton lirycznej radości, czego pięknym przykładem „Pajesia i deszcz” Janusza Dziurawca z Warszawy (I nagroda, Wojewody Radomskiego) — portret dziewczyny o uśmiechu Giocondy czy Marty Lipińskiej, usytuowanej na tle błękitnego, zamglonego pejzażu okolic stołecznego dworca „Śródmieście”.

Wśród innych prac podobny klimat spotkałem w „Wieczorze dyrygenta” i w „Człowieku z „Linhofem” Jolanty Jakimy z Rzeszowa, która ze zniechęcającą intuicją konstruuje sytuacje przy pomocy kilku kresek, linii i plam koloru, a także w dwóch autoportretach Stanisława Żukowskiego, asystenta w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS, przebywającego niedawno na tzw. stażu w warszawskiej ASP, gdzie jego świadomość (artystyczna) poddała przepiercie, na szczęście — bezskutecznie! Twarda poetyka naszej codzienności i ciepła jeszcze, bo wczorajszej, historii ujawniła się w kilku obrazach, tylko w tytu. Winiejsz Borowski z Zamościa przypomniał nam, w sposób prosty i trafny, zjawisko pt. „Decydenci”, a Andrzej Gilman (Czechowice Dziedzice) — „Matkę Polkę”: postać w pustce, z dziecakiem na jednej ręce, z torbą na zakupy w drugiej dłoni, a o oczach tak beznadziejnie błękitnych, jak plastikowe guziczki.

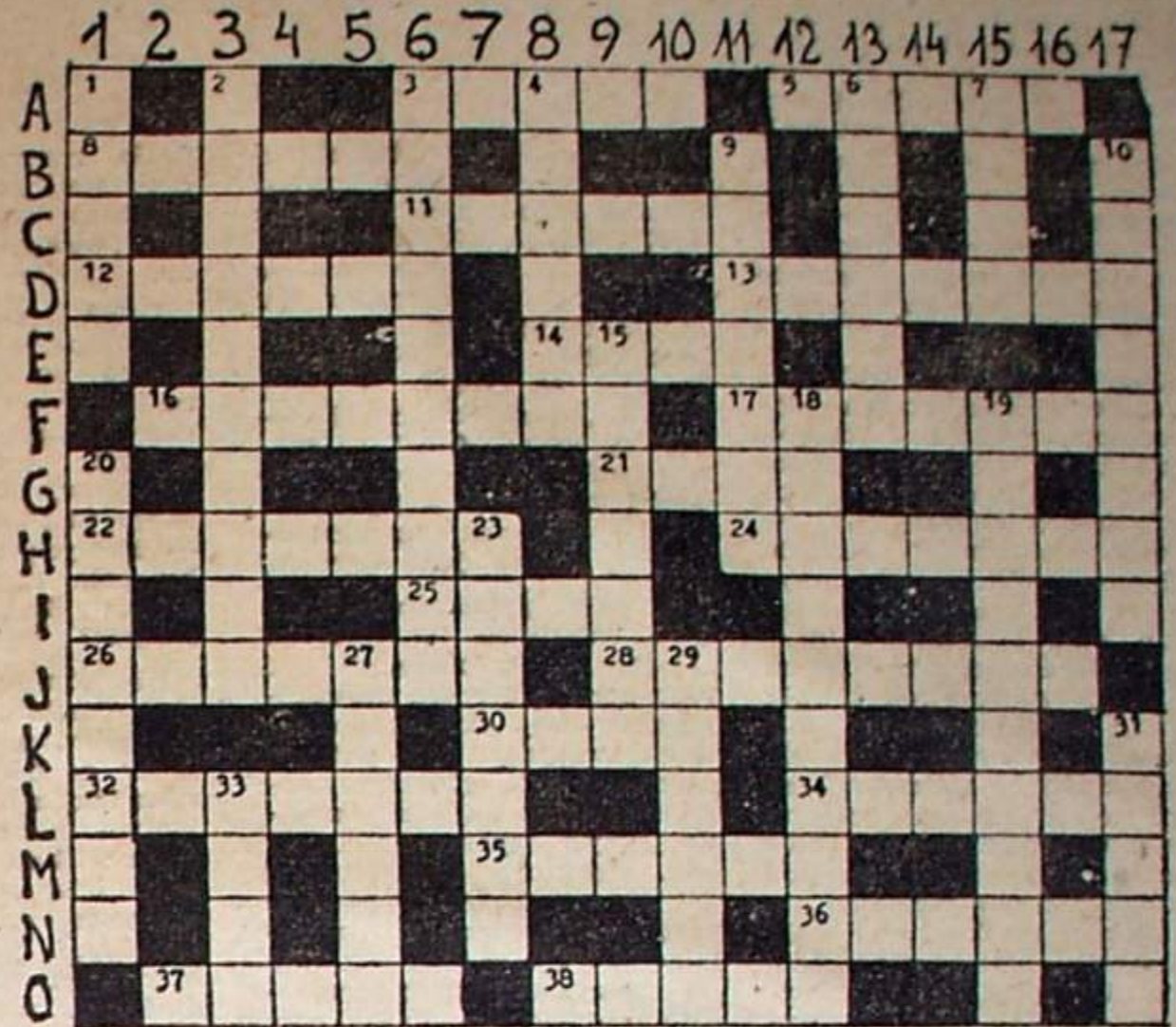
Andrzej Okieńczy z Poznania, mój faworyt od czasów „Sztuki Młodych” w Łodzi '81, także zrobił krok, i to spory, w tym kierunku, ale Grand Prix Triennale otrzymał chyba, słusznie, za akrylowy „Autoportret”. Jest to obraz, powiedzmy po prostu, znakomity, ale i dwuznaczny: dyskretnie wpisany we współczesność swoim klimatem emocjonalnym, a jednocześnie niemalże barokowy, bo zbudowany na konstrukcji mocnych napięć walorowych, dramatycznie kształtujących wnętrze z postacią autora — w czerwonej koszulce siedzącego za stołem nakrytym rozświetlonym zielonym sukniem, o twarzy prawie niewidocznej w mroku. Gdyby nie uwidoczniona w podpisie technika malowidła, można by sądzić, że np. zieleni uzyskał Okieńczy z mieszaniny żółtej indyjskiej z umbrą i indygiem lub z mieszaniny indyga z żółtą kwercytrynową i ultramaryną.

Znamienne: ten wystawie nadawali malarze młodzi lub dopiero wkraczający w wiek średni — podobnie, jak na innych imprezach ogólnopolskich, urządzonych w kilkunastu minionych miesiącach. Krótko mówiąc: o wewnętrznym życiu sztuki i jej publicznej obecności coraz wyraźniej decydują artyści młodzi, obojętni na historyczne nawoływania do bojkotu „reżymowych” ekspozycji, redagowane przez starych rutyniarzy „z nazwiskami” uprawiających wewnętrzną emigrację w sposób bardzo wygodny, bo nierządno na etatach... reżymowych uczelni plastycznych. Słyszałem, że przy wyplatkach wzbraniają się tylko przed przyjmowaniem 100-złotówek. Ze względu na kolor.

III Triennale „Prezentacje Portretu Współczesnego”, jedyną tego rodzaju wystawę w Polsce, otwarto w 10-lecie radomskiego BWA, mądrze i z inwencją kierowanego przez dr Ewelinę Pierzyńską. Na jubileusz przybyło kilkuset gości „z całego kraju”, którzy przytomni byli jeszcze jednej inauguracji: stałej Galerii Autoportretu BWA. Oto przykład konsekwentnego działania.

IJK

# Krzyżówka nr 13 z szyfrem



Posłomo: 1. wąż jadowity, 5. zawartość, 8. rycerskie zastawy, 11. jedna z trzech bogiń wdzięku, 12. nierasowy pies, 13. miasto wojewódzkie, 14. N, 16. płaszcz bez rękawów, 17. kształtne pismo z pomników, 21. wezwanie pospolitego ruszenia, 22. głucha pokrzywa, 24. czasomierz podręczny, 25. natchnienie, 26. ciągnik, 28. woreczek na pieniądze, 30. flisak, 32. czerpał siłę z matki Ziemi, 34. końskie kaprysy, 35. kółko z łańcucha, 36. mieszka w Katowickiem, Opolskiem lub Wrocławskiem, 37. katarakta, 38. zawartość zamkniętej dłoni.

Pionowo: 1. rzeka graniczna Hadesu, 2. autorka książki „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”, 3. jachting, 4. największe miasto Nigerii, 6. notariusz, 7. służa świętego Gwalberta w Liège Wenedzie, 9. brakorób, 18. pracuje przy ekspresie kawowym, 15. zamykają myśl wtrąconą w środek tekstu, 18. udowadnia ją alibi, 19. walczą z bykami drukarskimi, 20. wybitny skrzypek radziecki, 23. rozpryskuje kosmetyki lub farby, 27. rzecz powszechnie znana, 29. stolica afrykańskiego państwa arabskiego, 31. smykalka, 33. polski cyprus ementary.

Szyfr

16. B2. A6. L12. J13. A14. C10. A1. B5. I7. / N3. H12. J9. F13. / L5. A7. G12. H16. A16. /

O8. D8. C8. B17. F11. O12. / F8. M5. K17. / O2. L2. M7. D14. G10. O4. O4. / A9. C11. H1. F15. J10.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-930 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 500 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11

Posłomo: szczypta, osadnik, elekt, Joule, arbuż, ulan, kurz, apokryf, kaktus, karate, Ada, kil, hortensja, cma, kur, mariaż, otwory, tonacja, Etna, tabu, areka, lizol, Indie, Worskla, schówek.

Pionowo: szpulka, zgon, Pelops, ala, Oka, strzyk, druk, kądziel, jajka, zupak, Skagerak, automał, facjata, Adama, Timur, Cmiełow, arena, koral, rysunek, żonkili, ojciec, Ares, Togo, ana, lis.

Szyfr  
Parnas nie jest miejscem, skąd najłatwiej obserwować życie.

Artur Sandauer  
Proza



Sławny angielski aktor i dramaturg David Garrick niezbyt lubił satyryka Samuela Foota. Pewnego razu jednak go odwiedził i ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzał na biurku swoje popierście.

— Jak to, pan się nie boi postawić mnie tak blisko swoich piętędzy? — zapytał Garrick.

— Nie — odpowiedział Foot. — Jest pan przecież tutaj bez rąk.

Podczas pewnego przyjęcia w Nowym Jorku Ignacy Paderewski został przedstawiony młodej damie. Oboje wymieniają konwencjonalne grzeczności:

— Cieszę się, że panią poznałem.

— Ja również, słyszałam o panu same wspaniałe rzeczy...

— Doprawdy? A co na przykład?

— Na przykład, że jest pan nieżonaty!

Albert Einstein rozmawiał pewnego wieczoru z młodą Amerykanką.

— Jak pięknie lśni dzisiaj na niebie Wenus! — zawołała rozmówczyni.

— Przykro mi — zauważył uczonego — ale to Jowisz.

— Ach, pan jest doprawdy niezwykły. Z takiej odległości potrafi pan odróżnić pięd gwałdy.

Na balu dworskim Byron poznał sympatycznego szlachcika francuskiego.

— Widzi pan tamtą blondynkę, sir? — zapytał Byron. — Jestem w niej zakochany.

Jak pan sądzi, będę miał jakieś szanse?

— Trudno powiedzieć — odparł Francuz. — Ale tak czy owak, proszę mnie poinformować o wyniku.

— Czy to pana interesuje?

— Ech, wieszczęgólnie, ale jestem mężem tej blondynki.

Wysperzał: Ryszard Dunia

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasinski (kierownik działu literackiego) Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Henryk Pajak, Waldemar Stepień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastępcy sekretarza w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18.

Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze BSW „Prasa-Książka-Huch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 253-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. P. R. W. w Lublinie al. Unicka 4.

Adres redakcji: 20-028 Lublin al. Skłodowskiej 1/A.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-93, sekretarz redakcji 253-92, dział publicystyki i literacki 253-35.

Korespondencje i wzytkie prosimy kierować pod adresem 20-028 Lublin, skrytka pocztowa 231, pocztą i ekspresowe — pod adresem redakcji.



**P**OMIĘDZY dziesiątym a piętnastym mają życie intelektualne Lublina stało pod znakiem „Encyklopedii”. Tej jednotomowej, niekiedy zwanej „małą”, zresztą niesłusznie. W obecnych czasach za tę „małą” spuszczoną w obiegu nieformalnym, otrzymuje się prawie dychę, czyli tyle, ile dekadę wcześniej kosztowała „wielka”, dwunastotomowa, razem z tomem trzynastym, zawierającym sprostowania błędów i wypaczeń tomów pozostałych oraz prawie wszystkich błędów prawie wszystkich dekad.

„Małą” mieli dawać we wszystkich księgarniach jednocześnie, jawnie i demokratycznie, czyli systemem „kolejki”. Chyż o tym poszedł wśród encyklopedystów tydzień wcześniej. Krótkie wstępne kolejki zaczęły przystawać już przed dziesiątą rano we czwartek, a przy rogu ul. Szopena to nawet w środę. Alarmy okazywały się za każdym razem fałszywe i w piątek stało się jasne, że były to zwody celowe, obliczone na wstępną selekcję frajerów. Z pewnym niesmakiem muszę odnotować, iż ten wstępny pic na wodę dotknął głównie śmietankę intelektualną Lublina i okolic, bo dopiero następnego tygodnia, w poniedziałek, do walki stanęła prawdziwa elita, ludzie sięgający po książkę co najmniej raz na dziesięć lat, egzegeci zdolni stać po nia dniami i nocą, w deszczu, pośród straszliwych niewygód chodnika i stopni księgarń. Do zwycięskiego końca.

Skromnie oznajmić muszę, że i ja znalazłem się w ich gronie. Od początku wybrałem księgarnię na rogu Szopena. W ciągu tych nerwowych dni oczekiwań niewielkie narażenia tworzyły się także pod księgarnią techniczną i medyczną, na Dąbrowskiego, 1 Maja, na Kalinowszczyźnie i LSM, lecz ja zdecydowałem się na księgarnię z renomą i koneksją, uchodzącą za najlepiej i najwcześniej informowaną.

Tedy, jako finalista, znalazłem się na rogu Szopena w ów strzyżący poniedziałek, zbrojny w termos, myśliwski stołeczek na jednej stopce pożyczony od Janusza W. z PAP), ciepły pled oraz dobrą lekturę w postaci albumu „Malarstwo

polskie”, który w tej samej księgarni wystawiał przed dwoma tygodniami za marne 1500 złotych. Zona chciała mi jeszcze wcisnąć powieść pani Alba de Cespedes pt. „Jedność miejsca: noc”, w przekładzie Ewy Fiszer, w której, jak piszą w tzw. stopce, „unoszą się nastroje niepokoju, zagrożenia”. Uznałem jednak, że noc w powieści i noc w kolejce pośród posępnych encyklopedystów, to za dużo horroru.

Grupka przeważnie młodych, rzutkich entuzjastów „Małej Jednotomowej” od razu zdradziła spore doświadczenie. Nie mieli zamiaru tkwić wszyscy pod witryną przez całe 24 godziny, zatemizowani na osobne, samotne byty. Szybko zawiązali tzw. strukturę międzyludzką z jej egzekutywą, programem, a zwłaszcza z listą kolejności. Ta jednak okazała się niewystarczająca; wprawdzie ujmowała w karby cały ten żywioł, lecz nie dawała prerogatyw tym, którzy już nabyli niezbywalne prawa w kolejce. Powstała więc druga — lista dyżurów! Gwarantowała ona ceną możliwość oddalenia się na posiłek, na drinka do Klubu Stowarzyszeń Twórczych, czy na zajęcie i kontrolowanie drugiej kolejki w sąsiednich księgarniach.

Ale i na tym nie poprzestaliśmy. Wyłoniła się oczywiście potrzeba strzeżenia obydwu list! Wyodrębniono zatem organ nadrzędny, niezależny od dwu poprzednich — dyżurne pikiety do strzeżenia list, z prawem dyskretnej inwigilacji obydwu społecznych organów.

Wyglądało na to, że niczego nie zaniedbano, spokojnie więc zaczęliśmy spობić się do przetrwania dnia, potem nocy z poniedziałku na wtorek. W duchu obliczałem swoje szanse. Byłem dwunasty. Uporczywa pogłoska niesła, że z całą pewnością rzucą ze dwieście egzemplarzy. Uwzględniając meuchronne

faule, rozgrywki siłowe pod drzwiami, czy nawet samozwężanie listy, oceniałem swoje szanse jako niepodważalne.

Dzień pochmurny, leje, ziab. Rozmowy nie kleją się. Grono encyklopedystów już na pierwszy rzut oka zdradza fantazyjny eklektyzm postaci, umysłów, postaw, poglądów, temperamentów i czego tam jeszcze. Co gorsze — żadnych znajomych. Czyżby cała nauka, literatura i sztuka Lublina przegapiły sprawę?

Niestety, nie mogłem ustrzec własnej anonimowości. Wkrótce zostałem zmuszony do oddawania ukłonów sąsiadom z bloku, potem znajomym pisarzom, dziennikarzom i badydzarom, których najczęściej spotyka się przed piętnastą. Musnęła mnie wrokiem pewna dama, o której elementarne wymogi dyskrekcji nie pozwalają mi powiedzieć ani słowa więcej. Przeszedł, zupełnie obojętnie, fotoreporter „Kurier” wypatrujący ciekawych tematów dla obiektywu. Zaszczycił mnie rozmową były kolega z ZLP: zapytałem, dlaczego jest tu, a nie na spotkaniach autorskich, wszak trwają Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Powiedział, że w tym roku wydaje pięć powieści, przekroczy 600 tys. zł honorariów i wydział finansowy zabrałby mu wszystką forszę za spotkania. Dlatego woli spacerować niż gadać za darmo. Przystawiali na chwilę przyjaciele i znajomi z obydwu uniwersytetów, kończący lub dopiero rozpoczynający prace habilitacyjne — wspaniali introwertycy, najlepiej koncentrujący się właśnie w tłumie, gwarze, w ruchu. Wszyscy pytali mnie o szanse, spodziewaną liczbę egzemplarzy, o miejsce w peletonie.

Mijała trzecia czy czwarta godzina stania, gdy któryś z nich, historyk (habilitacja z bitwy na Porytówym Wzgórzu), zapytał od niechcenia, unosząc nieznacznie brwi:

— Jak to? To ty jeszcze nie masz encyklopedii? Nawet „małej”? Miażdżąca logika tego pytania zmroziła mnie, a potem szybko przekształciła się w płataninę wątpliwości moralnych i prestiżowych, poniżających domysłów i obelżywych konkluzji. Rzeczywiście — ja, po encyklopedii! Do tego — Mała! Najmniejsza! A więc nie posiadam dotąd w swoim księgozbiore najskromniejszego kompendium wiedzy ogólnej, szkolnej, wręcz elementarnej? Niewykłuczone zatem, że nie posiadam nie tylko księgozbioru, ale nawet jednej książki, o czymkolwiek; że nie czytam, a moja ostatnia lektura był artykuł redaktora Porebskiego o naczelniku w Bychawie.

I poczułem się tak, jak musiał się poczuć przed laty pewien profesor Akademii Medycznej w Lublinie, kiedy w prasie podali, że po drodze do tytułu profesora zapomniał zrobić dyplom lekarski!

Wstrząśnięty, zdruzgotany odwróciłem się w stronę witryny z książkami, aby wśród nich ukryć wstyd i upokorzenie, ale mój wzrok padł na najnowszą powieść Janusza O. i stojącą obok powieść Tadeusza J., więc znów odrzuciło mnie w stronę rzeki ludzkiej. A tam zdawał się już czekać, wyłączając na mnie, sardoniczny uśmiešek Piotra Wysockiego: kroczył, ze staromodną gitarą pod pachą, do teatru, gdzie jako Papkin w „Zemście” zasmuca młodocianą widowinę swoimi gagami. Nie, los zawiał się na mnie: z przeciwnej strony nadciągał znany poeta Tadeusz Pleciugow. Był niemal trzeźwy! Powitał mnie wylewnie, jakbym był jego serdecznym przyjacielem, lub, dla odmiany, wybitną osobistością miasta, po czym teatralnym szepem oznajmił, że on p...i wszelkie encyklopedie, życie jest jedyną encyklopedią, a poetą trzeba się urodzić, czego ciągle nie może

zrozumieć cała ta zgraja grafomanów dobijających się do ZLP!

To powiedziałem, pożegnał się ze mną gestem człowieka idącego na rozstrzelanie: dwiema pięściami uniesionymi nad głową, a ja, skulony, sponiewierany wewnętrznie i zewnętrznie, wpadłem wreszcie w ramiona człowieka, z którym rozmowa zawsze bywa dla mnie ukojeniem — mówimy wyłącznie o interesach.

Jego specjalnością były do niedawna wczesne pomidory pod folią, ostatnio jednak podarł tunele i przetrzczył się na wycieczki do krajów nie graniczących z Polską. Odtąd jego ulubionym zawołaniem stało się słynne „Adios, pomidores!”. Właśnie powrócił z Grecji. Nie ukrywał zadowolenia z zabytków i nabytków. Niemal siłą wyluskał mnie z kolejki zgorzszonych encyklopedystów i zaciągnął do swojego mieszkania przy Wieniawskiej...

Pokazywał zdjęcia, slajdy, blamy, chłamy, gramy... Nieustannie przy tym dolewał, polewał, rozlewał... I to jego: „Adios, pomidores!”

Wyszedłem przed północą. Była przerwa w deszczu, przerwa w życiorysie, przerwa w rzecie ludzkiej. Zbliżał się wtorek, ale Krakowskie Przedmieście trwało jeszcze w poniedziałku: szare, kamienne, nieludzkie.

Lecz nie, ludzie tu byli. Trwali. Widziałem trzy zastępy, nieludzką ludzką grupki encyklopedystów pod trzema księgarniami. Trzy samodzielne golgoty chochołów — trzy tłumy i ani jednej żywej duszy, na całej ulicy.

I naraz ten upiorny pejzaż zaczął mi coś przypominać, przypominać... Ależ taki! Już wiem! Przecież to żywcem wycięty ze str. 157 albumu „Malarstwo polskie” obraz Zbylutę Grzywacza pt. „Niebo” — wizjonerski, bo namalowany w 1977 roku. Ta sama pusta ulica, ta sama wieczorna czy przedporanna szarość kamienia — i oprócz trzech kolejek stojących w identycznej jak ta konfiguracji przestrzennej — tak samo ani żywej duszy!

I to samo niebo nad nami: tu — nad Krakowskim, i tam, na stronie 157. Niebo w okrutnym kolorze bezsilny i rezygnacji — pożaru! Jak on to mógł przewidzieć!

Uciekłem w popłochu. Więcej nie pamiętam... (pa)

## Kajet literacki

### ARS BELETRYSTYKA

**P**OWIEŚĆ, jaka jest, każdy czytał — można sparafrazować księdza Chmielowskiego. Rzeczywiście, o beletrystyce pisze legion rzeczoznawców, ale może dlatego wciąż trzeba wyjaśniać sprawę od początku. Zatem wyjaśnijmy.

W beletrystyce dzieje się wszystko na papierze, ale czytelnik akceptuje tylko te książki czy ich fragmenty, w których rozpoznaje refleks konkretnego życia. Wszystko inne jest jakby biała plama, niezadrukowanym papierem. To techniczne życie, prawdy życiowej wyczuwamy niemal natychmiast, po kilku zdaniach. Z teorii gatunku wiemy, że powieść wywodzi się z epiki wierszowanej, z retoryki i z historii. Beletrysta jako historyk opisuje nie królów tylko zwyczajnych ludzi, choć monarchów też opisuje, gdy zechce. Dlatego powieść nie może nie być kroniką. Z retoryki wzięto przede wszystkim exemplum, czyli przykład z życia. Epika wierszowana dostarcza natomiast różnych sposobów i sposobików formalnych.

Złożona budowa powieści próbuje się jeszcze komplikować, dorzucając całe dyscypliny naukowe, na przykład socjologię czy psychologię — ale wszystko to się mieści w normach starożytnego exemplum. Można też monstrualnie roduwać warstwę bryczną, robiąc z powieści opasły tom wierszy, ale tego nigdy nie brakowało w epice wierszowanej. Jak byśmy więc kombinowali, wciąż wszystko redukuje się do tych trzech elementów podstawowych: historii, retoryki i epiki wierszowanej.

Czy powieść się zestarzała? Oczywiście, poszczególne książki starzeją się razem z ludźmi, którzy je piszą czy czytają — ale powieść jako gatunek dalej jest młoda jak życie, bo wciąż to życie próbuje na nowo opisywać. A więc to nie powieść się zestarzała, to tylko wciąż odradzające się życie potrzebuje wciąż nowych kronikarzy, historyków, głoszących nie tylko chwale monarchów, opisujących nie tylko czyny bohaterów, ale także uczynki zwykłych ludzi. Jeszcze jedna sprawa. Lektura książek rodzi też wiele emocji, dopada nas starcza zgorzknialość czy młodzieńcza niecierpliwosć — i wtedy wydaje się nam, że to sama powieść wytyślała, postawiła czy postarzała się razem z nami. A ona najczęściej tak się zestarzała jak Apollo Beiwederski.

Wynalazek ruchomych obrazków spłoszył beletrystów i czytelników, ale kino istnieje już niemal wiek i w niczym powieści nie szkodzi. Dlaczego tak się stało? Film przede wszystkim jest konkurentem ilustracji w książce, a nie samego tekstu. Film może wypożyczyć sobie fabułę czy dialogi, ale nie jest w stanie przejąć całej warstwy refleksyjnej. No i na koniec przypomnieć należy, że film nie jest tak epicki. Przeważny obraz jest w zasadzie odpowiednikiem noweli, serialu natomiast sprawdza się tylko w telewizji. Poza tym serial jest — że tak powiem — niewygodny, nie można go obejrzeć za jednym zamachem, gdyż trudno byłoby usiedzieć w fotelu. A z książką w reku wynieść można — jak to się okazuje,



Rys. Józef Tartłowski

Film jednak ma z powieścią wiele wspólnego, w jakiejś mierze jest bogato ilustrowaną powieścią z obrazkami, do której dotarczo elementy teatru i muzyki. Czy coś jeszcze będzie można dorzucić do tej

mieszanki? Nie wiem, ale jestem przekonany, że nigdy nie zabraknie tych, którzy będą starali się to zrobić.

Janusz Olezak